17 Rok XVI (806)
CENA 1.50 ZŁ
29 4 73

1 MAJA

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

1 MAJA — święto ludzi pracy jest już obchodzone na całym niemal świecie. W niektórych krajach jest dniem walki o prawa ludzi pracujących, w innych — dniem radości i dumy z tego, co do tej pory zrobiono.

Dla nas 1 Maja jest dniem radości. W pierwszomajowych przemówieniach wiele miejsca poświęca się zazwyczaj osiągnięciom, a przekazując świąteczne pozdrowienia, kreśli się najogólniejsze zadania. Jest to też dzień młodości, bo kraj nasz jest krajem ludzi młodych. W pierwszomajowych pochodach dominuje młodość i radość z tego, co już osiągnęliśmy. W tym dniu nie ma miejsca na pesymizm, na zmartwienia i kłopoty. Świadomi tego, że wiele mamy jeszcze w kraju do zrobienia, świętujemy jednak w poczuciu dumy z naszych osiągnięć.

Przy okazji święta znajdzie się i miejsce na wytknięcie naszych wad. Defilując przed trybunami chwalić się będziemy najlepszymi spośród nas, ale wśród transparentów i plakatów znajdą się i te satyryczne, piętnujące nierobów, ideowych przeciwników, chuliganów. Tak bywało poprzednimi laty. Tak będzie i teraz.

Aura na ogół sprzyja świętującym. Ostatnimi laty rzadko padał deszcz. A to jest ważne, bowiem pierwszomajowe pochody stały się już tradycją. Na pochodach tych spotykają się wszyscy. Rodzice przychodzą z dziećmi. W szeregach stają weterani ruchu robotniczego i weterani pracy. W Łodzi zawsze barwnym akcentem jest przemarsz przed trybuną grupy cudzoziemskich studentów, którzy, świętując razem z nami, akcentują swoje rodzime sprawy: walkę o wyzwolenie społeczne, walkę o pokój.

A po południu, po pochodzie bawimy się wszyscy. W parkach, na estradach, na placach. Jak kraj długi i szeroki. Wesoło i radośnie. Tak było w latach poprzednich i tak będzie w tym roku.

Z PIERWSZOMAJOWYM POZDROWIENIEM

ODGŁOSY

Patrz na str. 4

BOGDA MADEJ

UŚMIECH PANI IRENY

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

WIERNOŚĆ I SKROMNOŚĆ

Kawiarnia „Pod Ormianinem". Powiadają, że kiedyś handlował tu przednim winem ormiański kupiec. Wiele lat później, za czasów gubernialnych szło się tu na piwo lub jednego głębszego do szynku Margulesa. W okresie międzywojennym mieściła się w tym lokalu apteka Grabowskiego.

Opuściliśmy zadymioną, pełną młodych piotrkowian kawiarnię, ażeby popatrzeć na wieczorne miasto, pooddychać świeżym powietrzem. Mój towrzysz mieszka tu po sąsiedzku, nieopodal w kamienicy, gdzie z górą sto lat temu, tuż po powstaniu styczniowym, mieściła się katownia carska. Mnie interesują dzieje życia mojego towarzysza wieczornej przechadzki, sprawy sprzed niecałych trzydziestu lat...

Urodził się dzień po Bożym Narodzeniu, w roku przewrotu majowego, w podpiotrkowskiej wsi Siomki, w której u schyłku hitlerowskiej okupacji, kiedy już dniało, powstała konspiracyjna piotrkowska Powiatowa Rada Narodowa. Do dziś pozostał, jak i jego ojciec robotnik, „urodzonym w dzień powszedni" — człowiekiem pracowitym i — jak o nim powiadają — nie wyglaszającym przemówień. Do pracy w Hucie Szkła „Feniks" przyszedł jako szesnastoletni chłopak. Pamięta dokładnie: 14 stycznia 1942 roku. Pięć dni wcześniej u Kudyniuków na Bugaju przy ulicy Sulejowskiej „wylądowali" towarzysze z grupy inicjatywnej PPR: Anastazy Kowalczyk, Roman Śliwa, jeszcze ktoś tam i znany przed wojną wśród hutników „Hortensji" i „Kary", Feliks Papliński, ten od Broniewskiego, z wiersza „Było ich tylko pięćdziesięciu"... Ale szesnastolatek nic z tego wówczas nie wiedział — to już wiedza nabyta później, w ZWM, kiedy wstąpił do organizacji jako jeden z pierwszych, właśnie w hucie „Feniks".

— Trzydzieści lat przepracowaliście w jednym zakładzie pracy?

— Tak, w „Feniksie" pracuję nieprzerwanie jako formierz szkła.

Przypomina mi się opinia, o **TADEUSZU ADASZKU**, jaką wypowiedział do niedawna jeszcze sekretarza KZ PZPR w „Feniksie" — **Józef Pisarek:**

— Skromny, pracowity, zupełnie jakby go w hucie

Dalszy ciąg na str. 6

CZY TYLKO sprawa kultury?

KIEROWCO: „JEDŹ Z GŁOWĄ, MASZ TYLKO JEDNĄ"

Nie jestem w zasadzie przeciwnikiem tygodnia kultury na jezdni. Każde działanie mające na celu choćby minimalne poprawienie stanu bezpieczeństwa na drogach ma swój sens. Ale nie jestem również zbytnim entuzjastą tej imprezy, bo kolejna, krótkotrwała akcja nie jest żadnym rozwiązaniem o które nam wszystkim chodzi. Wszystkim, to znaczy pieszym i zmotoryzowanym. A w ogóle sprawa jest mocno skomplikowana i wielu ludzi nie od dzisiaj poszukuje skutecznej recepty na tę chorobę XX wieku.

Przede wszystkim musimy sobie zdać sprawę, że na generalne rozwiązanie problemu będziemy musieli spo-

ro lat poczekać. Wiąże się to z budową autostrad, bezkolizyjnych skrzyżowań, a wreszcie modernizacja miast z myślą nie tylko ratowania ich przed motoryzacyjną eksplozją, lecz zapewnia również bezpieczeństwo w warunkach bardziej skomplikowanych niż obecne. Chodzi więc o ogromne nakłady inwestycyjne, o ciężkie miliardy — w efekcie długie lata budowy i przebudowy dróg w całym kraju.

Ta świadomość musi nas uzbrajać w cierpliwość, co wcale nie znaczy, że mamy wszyscy biernie akceptować istniejącą sytuację. Takie możliwości istnieją i wymagają nie pieniędzy (lub stosunkowo niewielkich nakładów) lecz konsekwencji w działaniu i myśleniu. Zainteresowanym zgłaszam dwie propozycje pod rozwagę.

Pijaństwo za kierownicą... Na całym świecie stosuje się ostre środki w walce z tą plagą. Jeśli wierzyć „Dziennikowi Łódzkiemu" (z dn. 13.IV.) to w Salwadorze za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym staje się przed plutonem egzekucyjnym. Autor notatki dowcipnie nazywa tę metodę dość radykalną i twierdzi, że nie ma tam problemu z recydywistami. Żarty, żartami, ale nieskuteczność najostrzejszych sankcji jest faktem. Piją nie tylko kierowcy-amatorzy, ale kierowcy zawodowi, których nie przeraża widać utrata prawa jazdy, czyli chleba powszedniego. Bardzo trudno ten fakt zrozumieć, jeszcze trudniej odpowiedzieć: co z tym fantem zrobić? Myślę, że bezapelacyjnie wsadzać do więzienia i odbierać prawo jazdy na całe życie. I publikować w prasie codziennej, w dziennikach telewizyjnych nazwiska osób ukaranych w ten sposób. Uzna ktoś może tę metodę za niepasującą do nowoczesnego i cywilizowanego społeczeństwa i będzie miał rację. Ale i ja chyba mam rację twierdząc, że potrzebne jest powszechne dotarcie do świadomości wszystkich bez wyjątku, że jazda po pijanemu jest ostatnią w życiu. Potrzebny jest wstrząs w świadomości kierujących pojazdami. Wstrząs, czy mocne uderzenie, bo i tak nie wahałbym się tego nazwać. Podejmowane w obecnych warunkach ryzyko jazdy po wódce widocznie jakoś się „opłaca". Nie można przecież powiedzieć, że ci wszyscy ludzie są kompletnie pozbawieni wyobraźni, że to całkowicie bezmyślne stworzenia, które nie wiedzą co czynią.

Naruszanie innych przepisów... Sprawa wydaje się stosunkowo łatwa do rozwiązania. Trzeba tylko usunąć pewne nieporozumienia i przyznać się, że stosowane do tej pory niektóre środki zawiodły. Np. powtórny egzamin. Jest to kara absurdalna i bardziej kłopotliwa niż skuteczna. Odrzućmy, jako bzdurę, że ludzie przekraczają przepisy bo ich nie znają. Sam od dwudziestu lat przekraczam przepisy, bo mi się spieszy, bo jestem zmęczony, nieuważny, bo liczę, że mi się uda, nie będzie milicji z radarem, że zdążę się wcisnąć na trzeciego. Z wielu, wielu powodów. Zapłaciłem za to pięćdziesiąt czy sto kilkudziesięciozłotowych mandatów. I co z tego? Nic, nie zbiedniałem.

Wydaje mi się sprawą zasadniczą, by z przepisów drogowych wyodrębnić te, których przekroczenie może spowodować wypadek drogowy (np. wymuszanie pierwszeństwa, nieprawidłowe wyprzedzanie, oślepianie długimi światłami w nocy) i karać za nie mandatami o wysokości minimum tysiąc złotych. Tak, powtarzam, minimum tysiąc złotych. Bo twierdzę, że ludzie z pełną świadomością przekraczają przepisy, a nakładane na nich drobne kary, ani ich ziębią, ani grzeją. To zróżnicowanie jest konieczne. Nie może być tak, żeby za nieprawidłowe parkowanie i przekraczanie szybkości ponosić jednakowe konsekwencje, zresztą często o wysokości zależnej od humoru milicjanta.

Jadę kiedyś z pewnym Anglikiem nocą przez podlondyńskie miasteczko. Skrzyżowanie, czerwone światło, na ulicy ani żywego ducha. Facet staje i czeka cierpliwie, a na moją złośliwą uwagę odpowiada: **mój drogi, to kosztuje u nas dziesięć funtów.** Nic nie odpowiedziałem, bo cóż więcej można było do tego dodać. To minimalne ryzyko mu się nie opłacało. Nie raz musiał się o tym przekonać, a właściwie policzyć.

Oczywiście to dwie wymienione możliwości wśród wielu innych. To również sprawa kultury na jezdni. Trzeba popierać te wszystkie akcje, pisać i mówić o tych sprawach. Jestem za! Ale również trzeba skończyć z liberalizmem w przepisach i sankcjach karnych. Za wiele jest śmierci, kalectwa, strat materialnych i moralnych, by nie korzystać możliwie najskuteczniej również z represji karnej i materialnej. Powtarzam jeszcze raz, by zostać właściwie zrozumiany, że nie są to możliwości jedyne, ale jedne z wielu skutecznych. Przestańmy się bawić w pobłażliwość, bo nam jako społeczeństwu się ona nie opłaca. I nie wstydźmy się jednostki aspołeczne, bo tak chyba można nazwać piratów szos, traktować tak jak na to zasługują.

J. ŻAK

JAK LUSTRO

Popularne powiedzenie głosi, że pucuje się coś i później to coś błyszczy jak lustro. Można tak pucować mieszkanie, można dom wyłożony aluminium umyć i wyczyścić, aby słońce się w nim przeglądało, można wreszcie — i trzeba — wypucować kraj cały. Przystąpiliśmy właśnie do porządkowania naszych miast, wsi i miasteczek. Jeszcze jedna akcja, która nie powinna skończyć się jak wiele poprzednich. Po porządkach nie wolno powrócić do poprzedniego bałaganu.

Troska o czystość, schludność i ład powinna stać się powszednim naszym nawykiem. Stara to prawda, że czego Jaś się nie nauczy, to i Jan nie będzie umiał. A więc porządku trzeba uczyć już w szkole. Powiem więcej — w przedszkolu. I jeszcze — w domu, od malutkiego. Ale, aby tak właśnie było, my sami — dorośli musimy się nauczyć tego porządku na starość. Innego wyjścia nie ma, bo kraj nasz, stale rozwijający się i unowocześniający musi być uporządkowany. Nie ma nowoczesności bez porządku, czystości, estetyki.

Wiosna sprzyja porządkom. Dawniej topiono Marzannę, chochoła ze słomy. Zdejmowano i palono zimowe okrycia drzew i krzewów. Porządkowano obejścia po zimowym rozgardiaszu. W miastach na wiosnę myje się okna, chowa zimową odzież. Działkowicze kopią ziemię, sieją warzywa i kwiaty. Porządkuje się zieleńce i parki. Wszystko przygotowuje się do zmiany klimatu. To wiosenne porządkowanie stąd właśnie wynika, ze zmiany pór roku. Ale mi chodzi o stałą troskę o porządek, o to, aby wiosną jak najmniej było do porządkowania, aby troska o ład i czystość panowała przez rok cały. Musimy nauczyć się tej troski.

Można pracować w rozgardiaszu i bałaganie, ale wtedy pracuje się źle. Ludzie mają złe samopoczucie. Zupełnie inaczej pracuje się tam, gdzie panuje porządek. A przecież dbać o porządek nie jest tak trudno. Każda rzecz powinna mieć swoje miejsce i każdą rzecz po użyciu powinno odkładać się na swoje miejsce. Nawet na placu budowy, gdzie z natury rzeczy tworzy się bałagan, można zadbać o porządek. Wystarczy tylko taki plac właściwie zagospodarować, a potem troszczyć się, aby wszystko wracało na swoje miejsce i aby pod nogami nie walały się kawałki rur, odłupane elementy budowlane, deski, słoma, puste beczki, worki po cemencie, a także worki z cementem.

Jeśli więc zaczęliśmy porządkować nasz kraj, to niech ten porządek pozostanie, niech w następnym roku znów na wiosnę nie trzeba będzie apelować do Polaków, aby ponownie uporządkowali swoje najbliższe otoczenie: miejsca pracy, fabryczne i biurowe podwórka, ulice, skwery, wsie, osiedla, dzielnice i miasta. Tak, aby nasz Czytelnik — Mirosław Poniecki nie musiał ponownie przysłać nam w liście następującej fraszki. „Raz na 550-lecie Łódź się dobrze zamiecie". Trzeba Łódź — wzorem innych miast — stale zamiatać. I chyba nie tylko Łódź. Przed kilku dniami Telewizja Polska w Dzienniku Telewizyjnym pokazała takie osiedla, w których dba się tylko o fasady, pozostawiając bałagan i śmiecie na zapleczu tych fasad. Nie o taki porządek i nie o taką czystość nam chodzi.

Ład, czystość i porządek mają też wpływ wychowawczy. Sprzyjają wzrostowi poczucia dyscypliny i odpowiedzialności. Zaczęliśmy ostatnio pokazywać ludzi dobrej roboty, tych najlepszych z najlepszych. Takich, którzy nie tylko dobrze wykonują swoje obowiązki, ale potrafią też oddziaływać na innych, uczyć ich dobrej pracy. Mamy takich dużo, więcej niż myślimy i spodziewamy się. Trzeba ich nadal stawiać za przykład innym, ale jednocześnie trzeba wytwarzać atmosferę potępienia wokół tych, którzy pracują źle, którzy bałaganią, niszczą ład i porządek. Pokazujemy więc i ich, ale nie dla popularności, a dla zawstydzenia. Niech wszyscy wiedzą, kto jeszcze przeszkadza i utrudnia nam i tak niełatwą pracę.

Pobłażliwość jest — niestety — ciągle jeszcze naszą powszednią wadą. Mam przed sobą charakterystyczny w tym względzie dokument. Wynika z niego, że w ubiegłym roku w kilkunastu przedsiębiorstwach przemysłu terenowego województwa łódzkiego zanotowano 4 155 przypadków naruszenia dyscypliny pracy. Jednak tylko w 2 885 przypadkach potrącono część pensji, a 956 — zwolniono z pracy. W pozostałych — zastosowano bardzo łagodne sankcje. Ot, tak, aby formalności stało się zadość. A przecież nie chodzi o karania dla formalności, chodzi o uczenie dyscypliny, ładu i porządku. Formalizm w tym nie pomoże.

MARCIN RODAK

„BIJCIE TYCH ICHMOŚCIÓW, A JA ZA TO ZAPŁACĘ..."

W roku 1828 ciągnął w stronę Łodzi z dalekiej Saksonii wóz, wioząc młodego Niemca, Ludwika Geyera, z rodziną i więcej niż skromną chudobą. Obok łóżek, szafy, stołu z trzesłami chybotała się staroświecka komoda, w której szufladach z powodzeniem mieściła się ubożuchna garderoba właściciela i jego rodziny, złożonej z żony, rodziców i krewnego, Krystiana Geyera. Ubóstwu dobytku przeciwstawiał młody, 23-letni człowiek wielkie bogactwo energii, inicjatywy, przedsiębiorczości i ogromną żądzę zdobycia fortuny. Jak wykazała przyszłość z pomocą tym wrodzonym właściwościom młodego Ludwika Geyera przychodził w trudniejszych sytuacjach życiowych zupełny brak skrupułów w dążeniu do upragnionego majątku.

Ludwik Geyer, przyjechawszy do Łodzi, rozwinął z miejsca swoją inicjatywę. Na otrzymanych od rządu placach przy ul. Piotrkowskiej pod nr 284--286 stawia kilkanaście parterowych budynków, w których umieszcza m. in. farbiarnię i płuczkarnię. Dla siebie i rodziny buduje drewniany domek o trzech izbach. Wkrótce powiększa swoje posiadłości przez nabycie sąsiednich posesji i w 1833 r. stawia murowany dom z facjatką, „dworek" klasycystyczny, stojący przy ul. Piotrkowskiej pod nr 286. Fortuna jego rośnie. Posiada w Łodzi 60 warsztatów tkackich i 100 w Pabianicach. W 1833 r. stan jego majątku oblicza się już na sumę 143.317 złotych polskich.

Jak Geyer dochodził fortuny, niech poświadczy takie zdarzenie. Trudno powiedzieć, czym Geyer naraził się Siewierskiemu, ławnikowi czynnemu, przybyłemu do Łodzi z Gostynina. Gdy ten ostatni przybył do osady Łódka, nieopodal mostu nad Jasienią majster Lebelt murował fundamenty pod przędzalnię geyerowską. O co poszło, trudno dziś dojść, ale jak później świadkowie zeznali, Siewierski był tego dnia pijany i gdy kazał Geyerowi przerwać pracę, Geyer wyrzucił go z budowy. Ławnik wziął sobie wówczas na świadka nauczyciela Solmsa i wraz z nim udał się do mieszkania Geyera. Nim jednak zdołali wytłumaczyć, po co przyszli, Geyer wziął ich za kark i wyrzucił. A zza drzwi wypadli ludzie geyerowscy z kijami, którzy pod przewodnictwem buchaltera Merkleima, pędzili ich aż do traktu piotrkowskiego. Sam zaś Geyer miał stać w drzwiach i krzyczeć:

„Bijcie tych ichmościów, a ja za to zapłacę!".

Obietnica ta musiała dobrze poskutkować, bo w biurze burmistrza Tangermanna panowie Siewierski i Solms przedstawili później wyniki obdukcji lekarskiej, świadczące, że zostali solidnie pobici.

Przeciwko Geyerowi wytoczono dochodzenie. Na śledztwie Geyer złożył obszerne wyjaśnienia, z których wynikało jasno, jak na dłoni, że on jest w najzupełniejszym porządku. To Siewierski, będąc w stanie nietrzeźwym, przybył do jego mieszkania wraz z pijanym Solmsem i zachowywał się prowokująco wobec Potempy.

„(...) wziął do ręki flecik i tym przeciwko memu buchalterowi nazwiskiem Potempa fechtować zaczął".

Więc obu wyprowadził za drzwi, nie uderzywszy żadnego. Poza tym zeznający zaznaczył, że Siewierski nie miał na sobie uniformu, więc trudno było zorientować się, że to jest osoba urzędowa. Ba, gdyby wiedział, to inaczej potraktowałby ławnika czynnego, choć ten był pijany.

Świadkowie zajścia, pracownicy Geyera, w całej rozciągłości potwierdzili oczywiście słowa swego pracodawcy, a nawet buchalter Merkleim poskarżył się, poważnie obciążając awanturujących się:

„Siewierski obalił go na ziemię, a Solms, korzystając z tego, ugryzł go w palec".

Siewierski, rozwścieczony na Geyera, zbiera przeciwko niemu materiał, śledzi go, nie żałując czasu i trudu. Nawet o świcie zagląda na budowę i notuje:

„(...) pan Geyer (...) jak zawsze o godzinie 4 z rana rozpoczął wzrost budowli zakazanej mu na teraz".

Geyer śpieszy się z robotą. Wykorzystuje na budowę i dni świąteczne. Siewierski wie o tym i kieruje do fabrykanta ostre pismo. Nadawcą jest Wydział Policyjny, upomnienie podpisuje sam Siewierski.

„Gdy uroczystość dnia dzisiejszego świętego Piotra i Pawła jest tak wielką — stwierdza ławnik czynny — iż nie tylko w kraju Królestwa Polskiego, ale nadto od wszystkich chrześcijan całego świata jest obchodzoną — z tego przeto powodu, a obok tego stosownie do przepisów policyjnych wzywam go niniejszym, aby nie dając przykładu zgorszenia religii tu panującej, natychmiast nakazał odstąpić mularzom od roboty, gdyż w razie innego doświadczenia nie tylko że robotnicy będą rozpędzeni, ale nadto winny karze ulegnie".

Ostatecznie sprawa została zakończona. J. Siewierski wrócił do Gostynina, a Geyer zakończył budowę fabryki.

TEODOR SUJCZYNSKI

NIESKOORDYNOWANE BUTELKI

Artykuł Cwieka pt. „Nieskoordynowane butelki" w „Ogłosach nr 14(803) z 8. IV. 1973 r. jest niemalże wspaniały. Moim zdaniem autor wykazał w nim nieprzeciętną ciętość pióra, temat jest ciekawy i „gładkość" tworzenia zdań pyszna. Sam artykuł nosi znamiona i chęci poprawy Rzplitej, chociażby na niwie tak nieważnych, a jednak ważnych zagadnień. Sfera produkcji, obrotu, handlu itp. to tematy od dawna będące pożywką dla pisarza i długo jeszcze nią będą.

Naprawiając jednak świat nie wolno zapominać, by uczynić to językiem polskim. Nie wolno popełniać błędów logicznych, gramatycznych i przyczynowych. Od ludzi będących na „świeczniku" (pisarze, redaktorzy itp.), wymaga się jeszcze czegoś więcej, prócz samego podania tematu, należy go jeszcze właściwie strawić. Poszerzam oczywiście tę maksymę w sposób dowolny, gdyż nie mogę „strawić" błędów przez Cwieka (korektora?) popełnionych.

Ad rem.

Nie ma katorżnych robót lecz katorżnicze. Nie można pisać „pięć deko", lecz „pięć deka", także w przypadku jeden deka. Średnic szyjek butelek nie mierzy się suwakami, lecz suwmiarkami, zaś przeciętny Polak wie co to „puszki konserwowe", lecz rozumując w analogiczny sposób doszlibyśmy do: papierosowych pudełek, papierosowych zapałek (?) już gorzej, co?, papierosowych ludzi itp.

Nie można dla własnej wygody tworzyć przyczynowych określeń bez użycia cudzysłowu. Tyle na razie. Następne artykuły Cwieka czytywać będą z niemniejszym zapamiętaniem i ciekawością, jednak proszę o lekką korektę języka polskiego.

Z poważaniem
RYSZARD STODOLKIEWICZ

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

WARUNKI NOWOCZESNEGO WYCHOWANIA

W 200-setną rocznicę powołania Komisji Edukacji Narodowej zakończył oficjalnie swoją działalność Komitet Ekspertów do Spraw Oświaty. Zamiary znamy bowiem od dawna. Uchwała VI Zjazdu PZPR zobowiązała do wprowadzenia w Polsce powszechnej szkoły średniej.

HALINA CYWIŃSKA

Na tle tych dokumentów Raport zawiera już wskazania szczegółowe. Jest przy tym opracowaniem kompleksowym, przynosi próbę oceny istniejącego systemu szkolnego, pierwszą pełną prognozę rozwoju oświaty i propozycje najlepszych — zdaniem ekspertów — struktur przyszłego szkolnictwa. Jest też próbą usytuowania oświaty w szerokim kontekście społecznym, zawiera propozycje powiązania szkoły, rodziny, zakładu pracy i środowiska w jednolity system wychowawczy, omawia wreszcie warunki i etapy realizacji przyszłych zadań oświatowych.

Raport wykracza daleko poza ścisłą reformę struktury szkolnictwa. W zasięgu zainteresowania ekspertów leżała szeroko rozumiana prognoza rozwoju Polski, którego jednym z głównych stymulatorów jest oświata. Jej zadaniem ma być przygotowanie człowieka, zdolnego podjąć zwiększone obowiązki, wynikające z przyśpieszonego tempa rozwoju kraju.

Eksperci piszą:

I. **„Stwierdzamy, że zadaniem przyszłego systemu oświatowego jest przygotowanie obywateli do optymalnego funkcjonowania we wszystkich sferach aktywności życiowej, gdzie rozwój społeczeństwa następuje w dwóch dialektycznie powiązanych wymiarach rozwoju zbiorowości i osobowości. (...) Przebudowa społeczeństwa we wszystkich aspektach jego działalności wymaga wykształcenia i wychowania ludzi nowoczesnych. Modernizacja oznacza oparcie działalności na nauce i technice, które charakteryzują się bardzo wysoką stopą zmienności. Kształcenie naukowe nie jest więc tylko magazynowaniem wiedzy, z której można potem czerpać przez długi okres, ale opanowaniem metody myślenia dla ciągłego odnawiania i wykorzystania jej zasobów.**

Modernizacja oznacza także wprowadzenie złożonych systemów organizacyjnych, wymagających precyzyjnych form współdziałania. Stąd wynika druga dyrektywa wychowania i kształcenia: uczyć umiejętności współdziałania, dyscypliny i intensywności pracy, od których zależy realizacja zadań wielkich układów zorganizowanych.

Trzecia dyrektywa dla modernizacji ludzi wynika z konieczności obejmowania coraz większych całości dla orientacji współczesności (...).

Czwarta dyrektywa, wynikająca z procesu modernizacji i przyśpieszenia rozwoju społeczeństwa polega na rozbudzaniu wszechstronnych zainteresowań historycznych, estetycznych i społecznych, stanowiących przeciwwagę dla ujemnych stron cywilizacji technicznej. Chodzi tu o pielęgnowanie tych wartości kulturalnych, które stanowią o identyczności kulturalnej narodu, a zarazem o pełnym rozwoju osobowości człowieka socjalizmu. Z tą dyrektywą ściśle jest związana dyrektywa wychowania ideologicznego i politycznego, bez którego obywatele nie będą umieli w codziennej działalności realizować podstawowych zasad ustroju. Wtedy dopiero kształcenie i wychowanie — oparte na zasadach ideologii marksizmu i leninizmu, w oparciu o najnowsze zdobycze nauki i techniki, dające wiedzę i metody sprawnej pracy w systemach dobrze zorganizowanych (...) i dopełnione wartościami społeczno-kulturalnymi — zostanie spojone w jeden zwarty system wychowania socjalistycznego".

II. Na tle tak pojętego unowocześnienia wychowania człowieka oczywista staje się konieczność modernizacji struktury oświaty, która pozostawiona w postaci dzisiejszej, nie byłaby po prostu w stanie udźwignąć ciężaru nałożonych nań obowiązków. Eksperci mówią wyraźnie o potrzebie lepszego przygotowania dzieci do podjęcia obowiązku szkolnego. Lepszego już w rodzinie (bo żłobki nadal traktowane są jako konieczność społeczna), coraz lepszego w przedszkolu. Ideałem byłoby upowszechnienie przedszkola dla wszystkich dzieci. Dla dzieci wiejskich przede wszystkim. Eksperci formułują ten postulat, rozumiejąc jednak skalę trudności przy jego realizacji (zwłaszcza na wsi). Niemniej widzą konieczność rocznego pobytu w przedszkolu dzieci sześcioletnich. Ale już nad tym, jak zapewnić sześciolatkom pobyt w przedszkolu, zastanawiać się muszą lokalne władze oświatowe.

III. System szkolny — zdaniem ekspertów — powinien **„w pełni realizować zasady: powszechności, drożności, elastyczności i szerokiego profilu kształcenia".** Przy tym elastyczność pojmowana jest jako możliwość indywidualizacji kształcenia i rozwoju talentów.

Bardzo silnie akcentowana jest w Raporcie konieczność wyrwania szkoły ze swoistej izolacji środowiskowej, w której się dziś znajduje. Szkoła musi stać się w przyszłości — i to niedalekiej — instytucją środowiskową, skupiającą wokół siebie wszystkie lokalne instytucje kształcące i wychowujące. Próby tworzenia szkół środowiskowych są już zresztą i dziś znane.

IV. Raport określa skalę zmian, które powinny zachodzić w szkolnictwie podstawowym. Najważniejsze z nich dotyczą wczesnego rozpoznania możliwości i dyspozycji dziecka, wyrównywania braków środowiskowych, rozwoju sieci szkolnictwa specjalnego dla tych uczniów, którzy nie są w stanie opanować programu. Zmiany treści programowych Raport omawia bardzo ogólnie, kładąc nacisk na potrzebę ich stałego unowocześniania.

Najpoważniejsze zmiany — proponowane zresztą w każdym przypadku w dwu wariantach — nastąpić mają w modelu powszechnego szkolnictwa średniego. Przy każdej z propozycji zmian eksperci omawiają szczegółowo wszystkie „za i przeciw".

WARIANT IA — upowszechnienie wykształcenia średniego w ramach istniejącej struktury szkolnej. Zakłada się, że istniejące formy organizacyjne szkolnictwa podstawowego, średniego i ogólnokształcącego, zawodowego i wyższego pozostają bez zmian. Przewiduje się tylko możliwość objęcia nauką na poziomie średnim wszystkich uczniów, wykazujących wystarczające do tego aspiracje i zdolności. Przewiduje on także rozpoczynanie nauki w siódmym roku życia, stopniowe upowszechnienie przedszkoli, modernizację treści i metod nauczania.

Przemawia za tym istniejąca struktura. Przeciwko — nierówność startu szkolnego, zbyt wczesna decyzja wyboru zawodu, nadmiernie wydłużony okres kształcenia, wysokie koszty.

WARIANT IB — modyfikacja obecnego systemu szkolnictwa przez wprowadzenie powszechnego wykształcenia średniego w ramach szkoły dwunastoletniej. Zmianie uległaby proporcja liceów ogólnokształcących (50 proc.) do liceów zawodowych (20 proc.). Reszta młodzieży kończyłaby 2—3-letnie szkoły zawodowe (25 proc.), bądź odpowiednie szkoły specjalne.

Za tym rozwiązaniem przemawia fakt rozszerzenia bazy rekrutacyjnej dla wyższych uczelni. Przeciw — wysokie koszty (około 8 proc. dochodu narodowego), **trudności związane z napływem absolwentów do zakładów pracy.**

Przeciwko temu rozwiązaniu wypowiedziała się większość ekspertów.

WARIANT IIA — upowszechnienie średniego wykształcenia na poziomie szkoły 10-letniej. Miałaby ona 3-letni okres nauczania początkowego, średni — obejmujący 5-letnią naukę wspólną uczniów i ostatni, 2-letni, zróżnicowany na kilka kierunków kształcenia. Wprowadzenie w życie tego wariantu wymagałoby radykalnej poprawy w przygotowaniu dzieci do szkoły oraz bardzo wysokich kwalifikacji nauczycieli. Spełnienie tych warunków nie jest możliwe w krótkim czasie.

Komitet Ekspertów nie wypowiada się za natychmiastowym wdrażaniem tego wariantu.

WARIANT IIB — pozostać przy koncepcji powszechnej szkoły ogólnokształcącej, 11-letniej, opartej na powszechnym systemie opieki przedszkolnej dla — początkowo — sześciolatków. Do szkoły przychodziłyby dzieci, mające średnio 6, 8 lat. Najniższy szczebel szkoły stanowiłyby klasy początkowe — I—III, wyższy klasy IV — VIII o jednolitym programie nauczania i wychowania, z zajęciami orientującymi zawodowo, klasy IX — XI dzieliłyby się na następujące ciągi: matematyczno-fizyczno-techniczny, chemiczno-biologiczno-rolniczy, społeczno-ekonomiczny, humanistyczno-kulturalny. Wyniki uzyskiwane w klasach IX — XI powinny decydować o kierowaniu absolwentów na studia wyższe, do szkół zawodowych lub do pracy. Wariant ten likwidowałby dwoistość losów szkolnych młodzieży.

V. Tak w skrócie wyglądają propozycje zawarte w Raporcie. Przy każdej z nich rodzą się nadzieje, ale również setki pytań i wątpliwości. Wymieńmy niektóre z nich, dotyczące nie tyle konkretnych propozycji ekspertów, ile tworzenia warunków dla wyboru i realizacji każdej z tych propozycji.

Jak i w jakim czasie dojść do upowszechnienia wychowania przedszkolnego sześciolatków? A jest to postulat zawarty w Uchwale VI Zjazdu. Stopień trudności określać tu będzie wieś i miasto, jako że sieć przedszkolna zwłaszcza na wsi nie jest dostatecznie rozwinięta.

W jakim wieku dzieci powinny rozpoczynać naukę, w 7 czy 6 roku życia? Kto powinien o tym decydować, rodzice sami czy obligatoryjne zarządzenie? **Jak wyrównać braki w przygotowaniu dzieci do szkoły?** Jak reedukować dzieci z fragmentarycznymi zaburzeniami rozwoju, których jest około 14 — 20 procent? Jak intensyfikować program nauczania początkowego w klasach I—III?

Jak dostosować sieć szkolnictwa do nowych potrzeb, zwłaszcza na wsi? Czy jesteśmy w stanie, jako społeczeństwo, rezygnować z istniejących struktur szkolnych, a na ich miejsce wprowadzać nowe? Czy stać nas na to materialnie i kadrowo?

Jakie skutki w polityce zatrudnienia wywoła fakt zwiększenia liczby młodzieży w liceach ogólnokształcących? Czy nie spowoduje to selekcji negatywnej w rekrutacji do szkół zawodowych? **Jak zmieni się skład klasy robotniczej?** W jakim czasie zakłady pracy zdolne będą włączyć się w nurt kształcenia zawodowego? Czy wobec tego nie pozostać przy starej strukturze, intensywnie ją doskonaląc, czy też decydować się na zmiany radykalniejsze, głębsze?

VI. Wymieniliśmy tylko niektóre z pytań i wątpliwości narzucających się niejako automatycznie. Jest ich więcej również i w odniesieniu do sposobów wychowywania i przekształcania społecznej świadomości. Postawione tutaj i tkwiące w nas samych liczne pytania, stanowią punkt wyjścia do społecznej dyskusji nad kierunkami unowocześniania oświaty.

Na niektóre z nich odpowiada Ministerstwo Oświaty i Wychowania na bieżąco, na naszych oczach, niejako doskonaląc dzisiejszą szkołę. To działanie jest konieczne. Ba! niezbędne. Tak, jak potrzebna i niezbędna jest społeczna dyskusja nad sposobami unowocześniania systemu oświatowego. Konkretna dyskusja, umiejscowiona w określonym regionie, w poszczególnych szkołach. Władze oświatowe liczą bowiem na pomoc społeczną w rozstrzyganiu tak ważnych dla narodu spraw. Na pomoc i radę przed podjęciem wyboru konkretnego wariantu propozycji ekspertów. Ale także na równie konkretną pomoc w doskonaleniu dzisiejszej szkoły.

Zmiany zachodzące w szkolnictwie — materialne i treściowe — mają bowiem przygotować grunt głębszej reformie systemu. Poprzedzi ją etap gruntownych przygotowań, przewidziany orientacyjnie aż do roku 1980, a dopiero później wprowadzone będą zmiany modelowe.

MPK nr 20206

Przeciętny łodzianin, nie dysponujący własnym środkiem lokomocji, chcąc po tygodniowej ciężkiej pracy zaczerpnąć świeżego powietrza, pakuje rodzinkę do podmiejskiego tramwaju lub autobusu i jedzie w podłódzką Polskę. I to jest słuszne.

Sporadycznie i niechętnie korzystam w obrębie Łodzi z tramwaju podmiejskiego. Zwykle jest on zaśmiecony. Można tu — szczególnie na pomostach — znaleźć wszystko: od zużytych biletów, łupin ze słonecznika i dyni poprzez pestki ze śliwek i wiśni aż do mnóstwa niedopałków. Jeśli do tego dodać panujący wewnątrz zaduch to stanie się zrozumiała niechęć do korzystania z tak „pięknego" środka lokomocji. Nic jednak nie zdołało mnie zniechęcić do wyjazdu w dniu 4.3.br. Nęciło świeże powietrze.

Krańcówka linii 46 przy ulicy Północnej. Cel — m. Emilia. Wsiada tu również do drugiego wagonu 3-ch rodzimych długowłosych hippisów w wieku 15—17 lat. — Oczywiście paląc papierosy. Nie przeszkadzają im napisy, zafundowane przez MPK: „Nie palić!". Ich wulgarne, głośne pewne siebie zachowanie zakłóca spokój oczekujących na odjazd. Jednak — jak to zwykle bywa — dla świętego spokoju — potulnie podporządkowują się aroganckim nastolatkom. Kiedy dym papierosów z powodzeniem wypierał czyste powietrze w wozie i stawało się duszno — zareagowałem. Zaskoczenie było kompletne. Szybko jednak nasi idole odzyskali pewność siebie. Przecież napisów zabraniających palić nie muszą czytać! Zawsze się paliło! Wobec mojej nieustępliwej postawy, zgaszono jednak papierosy. Zwycięstwo przyszło łatwo. Zbyt łatwo...

Przyszedł konduktor — pociąg ruszył. Na którymś przystanku wsiadł elegancko ubrany starszy pan. Stanął spokojnie w kącie pomostu, wyciągnął paczkę „Sportów" i kłęby wonnego dymu zaczęły znowu wypełniać wnętrze wozu. A więc pierwszy „wychowawca" już się znalazł... Chłopcy przerwali swoje bardzo interesujące opowiadania o winie i dziewczynie... Zrobiło się cicho. Patrzyli ironicznie spod tłujnych ondulacji w moją stronę.

Z kłopotu wybawił mnie konduktor. Nie, nie interweniował! Po prostu wyjął własne „Sporty" i spokojnie zapalił... Na to czekali „moi" chłopcy! Jak na komendę z szyderczym uśmiechem ostentacyjnie wszyscy zapalili. Zrozumiałem, że nie można mieć tylko do nich pretensji. To jeszcze miękkie tworzywo, któremu można by nadać pożądany kształt... Ale dorośli, a w tym umundurowany konduktor! Zrobiło się znów duszno w wagonie.

Uchyliłem nieco okno, zwracając jednocześnie konduktorowi grzecznie uwagę na niewłaściwość jego postępowania. Przecież nie honoruje zarządzeń wydanych przez jego przełożonych — przez dyrekcję MPK!. Oburzyło to przedstawiciela tej skądinąd znakomitej instytucji.

— Panie, napisy są nieważne! Wszyscy palimy!

— Należy wobec tego wymazać napisy i zainstalować popielniczki, aby nie zaśmiecać wagonu — skontrowałem jak umiałem.

— Panie, jak niewygodnie — jadź pan taksówką — z prymitywną odsieczą konduktorowi pośpieszył ów „inteligentny" współpasażer.

Ponieważ uważałem i uważam nadal, że w opisanej scence konduktor, łamiąc zakazy obowiązujące podróżnych, nie był w porządku — poprosiłem go o okazanie numeru służbowego. Nie było go oczywiście w ramce i w miejscu do tego przeznaczonym. To również oburzyło mego adwersarza.

— Po co to panu? Chce pokazać co potrafi!

Z ociąganiem i po dyskusji wyjął jednak swój numer z kieszeni płaszcza i podsunął mi go pod sam nos. Był to numer 20206.

Nie chodzi mi jednak tylko o tego pracownika MPK. Chodzi o problem podniesienia kultury korzystania ze środków lokomocji. Trzeba uczyć tego w szkołach, organizacjach młodzieżowych, ale trzeba również dawać — to przede wszystkim — dobry przykład. Kto to ma robić? Chyba przede wszystkim umundurowani funkcjonariusze MPK! Przecież często wokół ich służbowych siedzeń najwięcej śmieci. Sądzę również, że złośliwie naruszających przepisy mogłaby MO pouczyć odpowiednim mandatem. Nauka zawsze kosztuje, ale się opłaca. Jeśli mimo ogólnego trendu do ograniczania palenia w lokalach i środkach lokomocji — MPK chce tolerować nadal palenie — niech zainstaluje popielniczki. Na coś trzeba się zdecydować!

DARIUSZ DERECKI

ZAPOŻYCZENIE

Wydawnictwo Łódzkie w imieniu własnym oraz pana Horacego Safrina najserdeczniej przeprasza pana Włodzimierza Słobodnika za przypadkowe i nieumyślne zapożyczenie tytułu Jego książki „Bez figowego listka", wydanej w 1959 roku nakładem „Czytelnika".

Wyrażając ubolewanie, mamy nadzieję, iż ten przykry zbieg okoliczności nie wpłynie na ochłodzenie dotychczasowych przyjaznych stosunków między panem Włodzimierzem Słobodnikiem, a naszą oficyną.

Z wyrazami szacunku
M. Garlicki, dyrektor

Benon Liberski — „NIE" (grafika).

UŚMIECH PANI IRENY

Na ogromnej planszy, wśród kilkudziesięciu stłoczonych zdjęć, jej portret był na samej górze. Pewnie nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie kobiety, które zatrzymały się obok mnie.

— Popatrz, tam jest nasza Buczyńska — powiedziała jedna.

Przyjrzałam się uważnie. Pod jednym ze zdjęć przeczytałam: „IRENA BUCZYŃSKA — skręcaczka z Przędzalni Czesankowej im. Wł. Reymonta". Wtedy wiedziałam o niej tylko tyle. No i jeszcze, z napisu na planszy, że jest przodownicą Czynu Produkcyjnego w 1972 roku.

W Komitecie Zakładowym partii powiedzieli mi, gdzie mieszka. I poinformowali, że w tym tygodniu pracuje na nocnej zmianie. Zdecydowałam się pojechać na ulicę Grabieniec zaraz po południu.

— Mama śpi — powiedziała młoda dziewczyna, która otworzyła drzwi. — Zaraz ją obudzę.

Kobieta, która przywitała mnie w pokoju nie była podobna do tej ze zdjęcia. Wyglądała znacznie młodziej i sympatyczniej.

— Tamto zdjęcie robili mi na nocnej zmianie, nad samym ranem, kiedy człowiek jest najbardziej zmęczony.

Ale dalej rozmowa o pracy nie kleiła się.

— Bardzo dobrze mi się pracuje — mówiła. — Rozumiemy się z koleżankami. Kierownictwo nigdy nie miało do mnie żadnych zastrzeżeń. Wydaje mi się, że dobrze pracuję. I chyba później, kiedy będę starsza też będę starała się dobrze pracować. Nawet, jeżeli będę miała mniej siły niż teraz.

Dla Ireny Buczyńskiej dobra, rzetelna praca jest czymś tak normalnym, że nie ma o czym mówić. Powiedzieli mi to już rano w Komitecie Zakładowym. Powiedzieli, że takich ludzi jak Buczyńska mają więcej.

— Jest u nas grupa pracowników — powiedział sekretarz organizacyjny KZ partii — która różnego rodzaju inicjatywy przyjmuje albo z rezerwą, albo pyta: co my z tego będziemy mieli. Chcieliby dawać mniej wysiłku, a mieć więcej chwały. Tacy jak Buczyńska, nie pytają, co za to będzie. Patrzą szerzej, widzą społeczny sens pracy.

— To dlaczego tylko Irenę Buczyńską zgłosiliście do Honorowej Księgi Przodowników Czynu Produkcyjnego miasta Łodzi? — zapytałam.

— Bo Buczyńska nie tylko dobrze pracuje, ona wychowuje też innych. Uczy ich i dobrej pracy i właściwego postępowania. Już nieraz swoją postawą i odwagą mówienia prawdy w oczy rozładowywała wiele konfliktowych sytuacji.

To wszystko powiedzieli mi rano w Komitecie Zakładowym, kiedy jeszcze nie znałam Ireny Buczyńskiej. Teraz siedziałam naprzeciwko niej i rozglądałam się po pokoju. Zastanawiałam się, jak dalej poprowadzić rozmowę. I wtedy Buczyńska zaczęła mówić.

— Na skręcalni u „Reymonta" pracuję od 1953 roku. To już dwadzieścia lat.

— A przedtem?

— Pracuję od 17 roku życia. Przez trzy lata pracowałam w Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Ludwika Waryńskiego, dzisiaj to jest „Lodex". Kiedy urodziła się córka, przerwałam pracę na trzy lata.

Życiorys Ireny Buczyńskiej nie jest zbyt skomplikowany. Urodziła się w Koluszkach. W rodzinie było czworo dzieci, ona i trzech braci. Pracować zaczęła w Łodzi. Tu poznała przyszłego męża. Po ślubie zamieszkali w małym pokoiku na poddaszu, w domu przy ulicy Granitowej na Chojnach. Tu urodziła się córka Henryka. Trudne warunki mieszkaniowe spowodowały, że dziecko zaczęło chorować. Buczyńscy starali się o zmianę mieszkania, pisali podania, ale decyzje stale były odmowne. Zdecydowali się więc na samowolne zajęcie wolnego mieszkania, ale ich eksmitowano z powrotem do poprzedniego. Znacznie później dostali mieszkanie zastępcze w drugim końcu Łodzi, w domu przy ul. Helskiej. Spółdzielcze mieszkanie, które teraz zajmują, otrzymali przed czterema laty. Niedługo jednak cieszyli się swoimi dwoma pokojami z kuchnią, bo córka wyszła za mąż i teraz mieszkają tu już dwie rodziny. Rodzice w większym pokoju, przechodnim, młodzi — w mniejszym.

— Żyjemy sobie wspólnie — powiedziała pani Irena. — Młodym trzeba pomagać. Ale chyba niedługo pójdą na swoje. Córka już od trzech lat jest członkiem w „Lokatorze".

— Chyba się pani z tego cieszy?

— Tak musi być. Młodzi mają swoje życie, swoich znajomych i swoje sprawy. Zięć pracuje i studiuje ekonomię, uczy się po nocach. Czasem oni chcą posłuchać płyt, a ja przyznam się pani, mam dosyć hałasu w fabryce. Ale wie pani, co bym bardzo chciała? Marzy mi się, że jak będą już mieli swoje mieszkanie, a będzie wnuczek lub wnuczka, to żeby dziecko było u mnie.

— Ale to chyba nie jedyne pani marzenie?

— No, nie. Bardzo bym chciała nie pracować już na trzy zmiany. Ale u nas w fabryce nie ma takich możliwości. A nawet jakby były, to są ludzie starsi ode mnie, chorzy, im by się najpierw należało. Proponowano mi nawet pracę na dwie zmiany, ale w innej fabryce. Jak teraz odejść, po dwudziestu latach pracy? Znam tu wszystkich, przywiązałam się do ludzi. Sporo się u nas ostatnio poprawiło. Fabryka chociaż stara, to zadbana, czysta. Maszyny coraz nowsze.

Rano byłam w fabryce. Bardzo podobało mi się fabryczne podwórko. Jest inne niż te, które zdarzyło mi się widzieć. Nie ma porozwalanych skrzyń, desek, nie ma stert żelastwa. Jest tam za to dużo zieleni. Widać, że starannie pielęgnowanej. Jest czysto. To robi duże wrażenie. Chodziłam po fabrycznych salach. I tu również czysto. Nie ma prawie starych maszyn. Wymienia się już nawet maszyny z początku lat sześćdziesiątych.

W Komitecie Zakładowym partii chwalono się osiągnięciami produkcyjnymi, listami i dyplomami uznania od centralnych władz partyjnych, poprawą warunków pracy i wypoczynku, dyskusyjnym klubem filmowym i dobrze wyposażoną salą projekcyjną, mówiono także o wolnych sobotach. U „Reymonta" każda zmiana popołudniowa ma raz w miesiącu wolną sobotę. Pod warunkiem, że bieżące zadania produkcyjne są wykonane w terminie.

— A co pani robi w wolną sobotę? — zapytałam Buczyńską.

— Pranie. Pisali kiedyś w „Głosie", że nasze kobiety pracują na dwa etaty, ten w pracy i ten w domu. Ja mam jeszcze trzeci — pracę społeczną.

Nie zapytałam o ten trzeci etat. Wiedziałam już, że Irena Buczyńska do partii wstąpiła w 1966 roku, była grupową partyjną, jest członkiem egzekutywy POP, a ostatnio została członkiem Komitetu Dzielnicowego partii na Polesiu i członkiem Komitetu Łódzkiego PZPR. Powiedziałam tylko:

— To nie jest łatwo pogodzić wszystko.

— Na pewno — odpowiedziała Buczyńska — ale bardzo pomaga mi mąż, przy wszystkich pracach, nawet przy gotowaniu. Niedawno przerobił kuchnię i łazienkę.

Chciałam to obejrzeć.

— To niech mąż sam się pochwali — powiedziała Buczyńska i zawołała męża.

Obejrzałam kuchnię i łazienkę, jakiej pani Buczyńskiej pozazdrościłaby każda gospodyni. Pan Bronisław wyłożył ściany w kuchni białymi płytkami, a w łazience — niebieskimi. Obudował wannę. Z płytek pcv ułożył w kuchni i przedpokoju barwną szachownicę. Okazało się również, że piękne rośliny w mieszkaniu to także zasługa pana Bronisława.

Przez cały czas mojej wizyty gospodyni była uśmiechnięta. Zdenerwowała się tylko raz, kiedy dzieci za oknem zaczęły pokrzykiwać coraz głośniej.

— I tak jest stale — powiedziała — od wiosny do jesieni. To nie był najlepszy pomysł, żeby pod oknami robić plac do zabawy. Dla mieszkających na parterze jest to szczególnie uciążliwe. W takim hałasie nie można spać po nocnej zmianie. Razem z sąsiadami, którzy też pracują na trzy zmiany pisaliśmy już podania do komitetu domowego, ale to nic nie dało. A można tu znaleźć takie miejsce, żeby dzieciaki mogły się bawić bez denerwowania ludzi.

W ogóle życie na takim osiedlu nie jest najłatwiejsze. Rano, żeby spokojnie dostać się do pracy muszę wyjść z domu o czwartej. Później kiedy wraca się z pracy, autobusy są też zatłoczone. To jeszcze i tak dobrze, że jak wracam z torbami pełnymi zakupów, w autobusach jest już luźniej. Nie wszystko mogę dostać tu na miejscu. Ciągle jeszcze za mało mamy sklepów, punktów usługowych. Ale ostatnio tyle mówi się o tym, co powinno być w nowych osiedlach, że chyba zacznie się coś wreszcie robić.

I tak poznałam Irenę Buczyńską — skręcaczkę z Przędzalni Czesankowej im. Wł. Reymonta. Kobietę ze zdjęcia, na którą zwróciła mi uwagę przypadkowo podsłuchana rozmowa. Jej życie jest takie, jak życie większości łódzkich kobiet. Różni się tylko tym, że swój czas musi dzielić między pracę w fabryce, pracę w domu i jeszcze pracę społeczną. Nie ma go zbyt wiele dla siebie. Wprawdzie w pokoju stoi telewizor, ale program ogląda tylko w niedzielę i to po południu, wtedy, kiedy jest już po obiedzie i naczynia są pozmywane.

Fot. A. Wach

Jaka jest? Przede wszystkim bardzo pogodna. Nawet o swoich codziennych kłopotach mówi spokojnie i z uśmiechem. Ten jej serdeczny uśmiech jest bardzo krzepiący. Taki, że warto byłoby się go od niej nauczyć.

BOGDA MADEJ

Listy do Redakcji

13.

W tygodniku „Odgłosy" nr 12 z 25.III.1973 ukazał się artykuł odnośnie „kabalistycznej 13-tki". W artykule tym podane zostało:

Pewien jegomość (na stanowisku), jeżdżący często w podróże służbowe do Poznania (handlowiec) tłumaczy mi przy każdej okazji spotkania, że powinni w tym mieście otworzyć przynajmniej jeden burdel, bo on zatrzymuje się w „Merkurym" (w pokoju 1-osobowym zawsze — 135 zł doba) i mu kurwy żyć nie dają.

A gdyby był burdel, chociaż taki jak „Merkury", to by siedziały w jednym miejscu i on, człowiek na stanowisku w delegacji służbowej nie byłby narażony i by się nie denerwował.

W post scriptum do tego artykułu autor podaje:

„Ja też, jak przyjeżdżam do Poznania, to zatrzymuję się w „Merkurym". Mnie tam kurwy w oczy nie kłują. Są to dziewczyny (w klasie orbisowskiej, oczywiście) bardzo ładne, bardzo eleganckie, znakomicie ubrane — itp.

Prenumerując prasę oraz „Odgłosy", prasa ta nie jest przeze mnie chowana — znalazłem się w kropce, ponieważ zostałem zainterpelowany przez panienkę ponad 12 lat, bym jej wytłumaczył, co to jest burdel oraz kurwy, toteż miałem trudność, bo chciałem znaleźć te wyrazy w oględnej interpretacji w słowniku wyrazów polskich lub w Małej Encyklopedii, lecz wyrazów tych nie znalazłem. Pozostaje mi więc skierować zainteresowaną do autora artykułu „kabalistycznej 13-tki".

Ponieważ narzeka się na młodzież, a w prasie zbyt dużo mówi się o kulturze, uważam, że w tak dosadny sposób wyrażanie się autora w tym artykule można by zastąpić nie tak dosadnymi określeniami, jak: burdel i kurwy, przez podanie: k..., i b... i każdemu z dorosłych, bo chyba dla nich ten artykuł był dedykowany, wiadomo było, o co chodzi.

Wiem, że niepariamentarne wyrazy są tępione i nawet sprawcy są pociągani do odpowiedzialności przed Kolegium Karno-Administrac. przy prezydiach DRN, toteż niemile jestem zaskoczony po przeczytaniu tego artykułu i myślę, że słowa: kurwa i burdel podane w tak poczytnym tygodniku, jak „Odgłosy" — są zaprzeczeniem kultury.

Łączę wyrazy szacunku

Wacław Raczkowski
Łódź, Srebrzyńska 91 m. 9

Otrzymują do wiadomości: 1. Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, 2. Komitet Dzielnicowy PZPR Łódź-Śródmieście, 3. Hotel „Merkury" w Poznaniu.

OD REDAKCJI:

Wspomniane wyrazy, które sprawiły tyle kłopotu naszemu Czytelnikowi, można znaleźć w „Słowniku języka polskiego", tom I, str. 730 „burdel... dom publiczny, dom schadzek" oraz tom III, str. 1317 „kurwa... kobieta rozwiązła, rozpustnica; także prostytutka". Słownik ten wydała PAN, a autor tego hasła przytacza nawet ludowe przysłowie: „Kurwa kurwie łba nie urwie".

Ale rzecz nie w tym. Dyskusje o brzydkich wyrazach znane są już od lat i powracają zawsze, kiedy ludziom zaczyna wydawać się, że nie ma o czym dyskutować. Nas jednak w tym liście zastanowiło coś innego. Dopisek. Instytucje, którym Wacław Raczkowski wysłał odpisy swego listu. Mamy zwyczaj publikowania listów, a także okazowe egzemplarze wysyłamy zainteresowanym instytucjom. A poza tym — naszym zdaniem — KD PZPR Śródmieście i Wydział Kultury Prezydium RN m. Łodzi mają trochę ważniejsze sprawy niż zajmowanie się brzydkimi wyrazami. Chyba, że autorowi listu chodzi o coś innego, niż brzydkie wyrazy. Ale to już inna sprawa.

SZTUKA MAGICZNA

Instytut Wydawniczy CRZZ narobił zapewne tą książką sporo zamieszania wśród polskich iluzjonistów. Przekład „Sztuki magicznej" Aleksandra Wadimowa rozszyfrowuje bowiem blisko 200 „magicznych numerów", które, jak dotąd, spotyka się często na pokazach zawodowych iluzjonistów.

Wadimow zresztą nie tylko odkrywa tajemnice, ale po prostu uczy jak samemu zabłysnąć sztuką z gołębiem wyfruwającym z kapelusza, lub zegarkiem znikającym na oczach publiczności. Wadimow uczy jak skonstruować rekwizyty — owe wszystkie czarodziejskie laseczki, złote rybki pojawiające się ni stąd ni zowąd w pustym akwarium, albo klatki, z których znika ptak...

Opasła, blisko 500-stronicowa książka zawiera więc wszystko co trzeba, aby opanować sztukę iluzji. Są tam wskazówki techniczne, dotyczące drobnych szczegółów, są uwagi jak odwracać uwagę publiczności, są instrukcje dotyczące treningu i repertuaru. Po prostu vademecum iluzjonisty.

Na marginesie refleksja. Jak wysoki musi być poziom „sztuk magicznych" u naszych sąsiadów, skoro repertuar prezentowany przez Wadimowa, przeznaczony jest dla... amatorów. A przecież ten sam repertuar, zresztą nie cały, stanowi w Polsce do dziś podstawę programów iluzjonistów zawodowych! Tak więc 30-tysięczny nakład książki Wadimowa narobi sporo bałaganu w „branży szarlatanów", psując im szyki na występach. Po przeczytaniu tej książki każdy widz może zawołać: „Panie, tę kartę przyczepił pan pod klapą fraka!" — i cały występ na nic.

Aleksander Wadimow „Sztuki magiczne". Instytut Wydawniczy CRZZ, 1973, cena 40 zł.

NASZ CZŁOWIEK W CIA

Są niewidoczni, działają w tłumie, długo wypracowują sposoby podejścia do osoby, która ich interesuje. Potrafią stworzyć wiele sytuacji ułatwiających nawiązanie kontaktu, wciągnąć w matnię podstępem lub szantażem. Cynizm nie odbiera im — „dżentelmenom z CIA" — prawa do zachęcających obietnic, gwarantujących rzekome bezpieczeństwo zwerbowanego człowieka, który ma działać za obce pieniądze przeciwko własnemu krajowi.

Tak można w skórcie streścić sens książki Kamila Rewery „Kolorowe neony". To oczywiście pseudonim, za którym kryje się pracownik polskiego kontrwywiadu wojskowego. Rewera przeniknął do tego zakonspirowanego świata, podejmując niebezpieczną rolę „agenta CIA".

Książka jest sensacyjną opowieścią o walorach dokumentalnych, odkrywa kulisy niebezpiecznej gry z przeciwnikiem na tajnym froncie. Autor i bohater zarazem stanął przed ciężką próbą nerwów, odporności psychicznej, rozwagi i przebiegłości. Zadanie wykonał bezbłędnie, trochę gorzej powiodło się z książką, która miejscami jest przegadana i wypada ze stylu literatury faktu. W sumie jednak jest to pozycja interesująca i można ją polecić na deszczowe wieczory.

Kamil Rewera „Kolorowe neony", Wyd. MON 1973, cena 18 zł.

MATECZNIK SANDAUERA

Są trzy znaczenia słowa „matecznik": trudno dostępne miejsce w puszczy, komórka, w której wylęga się pszczela królowa oraz poletko, na którym uprawia się rozsadę roślin przeznaczonych na rozmnażanie.

„Matecznik literacki" Artura Sandauera jest chyba takim poletkiem wybitnego krytyka. Sądy, myśli, refleksje, zasiane na kartkach tej książki, zasługują bowiem na rozmnożenie. Zwłaszcza, że jest w tych esejach „cały Sandauer" — ze swoją błyskotliwością, dociekliwością, oryginalnością interpretacji i indywidualnym spojrzeniem na literaturę.

Szkice o Norwidzie, Leśmianie, Czechowiczu, Białoszewskim, a także na temat Joyce'a, wnikliwe rozprawy, w których nie ma nic z pseudonaukowej napuszoności, napisane pięknym, klarownym i prostym językiem, bez stylistycznych zawijasów, tak częstych w produkcji krytycznej współczesnych eseistów. To jednocześnie krytyka literacka i po prostu literatura. Dobra, zajmująca literatura.

W pisarstwie krytycznym Artura Sandauera panuje zawsze, obok naukowej dociekliwości, jakiś osobisty, niejako prywatny ton. Szczególnie wyraźnie doszedł do głosu w rozprawach o Przybosiu i teatrze Białoszewskiego. A już szczególnie urokliwą przygodą literacką jest szkic poświęcony korespondencji Juliana Przybosia z Sandauerem.

W sumie jest to książka ważna i bardzo potrzebna. Może nie będzie tak głośna jak słynna „Bez taryfy ulgowej", ale z pewnością nie mniej istotna.

Artur Sandauer „Matecznik literacki", Wyd. Literackie cena 12 zł.

ODSZUKAĆ BETA-12

W tajnym laboratorium wybuchł pożar — skradziono ponadto cenne, a niebezpieczne ampułki, zawierające śmiercionośne bakterie, mogące wytruć tysiące ludzi. Do akcji wkracza kontrwywiad i milicja. Są oczywiście i agenci obcego wywiadu i zwykłe rodzime płotki kryminalne. Akcja rozwija się wartko i w końcu wszystko dobrze się kończy.

Tak można streścić powieść Krystyna Ziemskiego „Odszukać BETA-12". Autor widać lubi swojego czytelnika, ponieważ akcję prowadzi tak, że czytający jest zawsze nieco mądrzejszy od milicji, tropiącej zbrodniarzy. Porucznika Kordę usprawiedliwia oczywiście młody wiek i brak doświadczenia, ale jednak działa strasznie siamazarnie, choć mu autor wyraźnie daje do zrozumienia, jakie powinien podjąć kroki.

Książka jest „taka sobie" i nic jej specjalnie nie wyróżnia od przeciętnej produkcji tego rodzaju, gdyby nie pewna „niechlujność logiczna" w drobnych sprawach. W literaturze sensacyjnej jednak owe drobne realia są bardzo ważne i nieraz wartość książki na nich się opiera (vide Simenon). U Ziemskiego jednak śmiercionośne bakterie ukryte są w... szklanych ampułkach, które stłuc tak łatwo. Akcja dzieje się współcześnie, a bohater śpiewa „najnowszy przebój" — „a mnie tak szkoda lata"... Przebój akurat... przedwojenny. I tak dalej i tak dalej. Nonszalancja w spisywaniu drobiazgów zupełnie nieprawdziwych i nielogicznych irytuje szczególnie właśnie w tego typu literaturze. Jeśli jednak na te potknięcia nie zwracać uwagi — książkę czyta się gładko w pociągu lub w kolejce do lekarza.

J. WIL

Krystyn Ziemski „Odszukać BETA-12", Wyd. MON, cena 12 zł.

(II)

MOJA MATKA MA FANTAZJĘ. CEROWANIE SKARPETEK Z PIĘCIOMA JĘZYKAMI. CORECZKA PANI ELEONORY.

STEFANIA GRODZIEŃSKA

Matka moja, to osobny rozdział. Oprócz pełnego fantazji opuszczenia męża w osiemnastym roku życia i dziewiątym miesiącu ciąży, aby samotnie w tym stanie odbyć podróż poprzez pięć krajów (urodziła mnie w kraju czwartym, przewidując widocznie rolę Wydawnictwa Łódzkiego w moim życiu), a więc oprócz tego i tak całe jej życie było dosyć nietypowe i nietypowość ta właśnie rzucała mnie raz po raz w stronę Łodzi.

Moja matka, osoba stosunkowo niewiele starsza ode mnie, szybko znów wyszła za mąż, tym razem za człowieka kapryśnego i chyba niezupełnie odpowiedzialnego. Błąkała się z nim po Europie, co parę lat osiedlając się w innym kraju na zawsze. Dopóki byłam uroczym dzieciątkiem, mąż mojej matki znosił obecność moją dość dzielnie. Kiedy jednak zostałam sześcioletnią, brzydką, chudą i przemądrzałą dziewczyną, odesłano mnie do rodziny, która tak długo pozbywała się mnie z kraju do kraju i z miasta do miasta, aż wylądowałam całkiem przypadkowo... Gdzie? No śmiało proszę zgadnąć. Brawo! Oczywiście w Łodzi. Tu po raz pierwszy przygarnięto z sercem mnie dziesięcioletnią, potwornie samodzielną i nieufną, mówiącą swoistym esperantem, będącym rosyjsko-francusko-niemiecką mieszaniną. W Łodzi rzucono mnie od razu na szerokie wody, posyłając do polskiej szkoły. Może właśnie dlatego, że polski był pierwszym językiem, jaki miałam czas naprawdę poznać, jest mi tak świadomie miły i tak bardzo pozostałam wrażliwa na jego poprawność. Ale do Łodzi moich lat szkolnych jeszcze wrócę.

Za nic nie chciałabym, ażeby ktokolwiek sądził, że mam choć cień żalu do mojej matki za rozłączenie się ze mną. Nigdy w życiu nie znałam osoby równie czarującej, łączącej łagodność z poczuciem humoru, urodę z inteligencją, lekkomyślność z wykształceniem, radość życia w najgorszych okolicznościach z nostalgią w najlepszych. Moja matka wyglądała na małą niezaradną kruszynkę, a w czasie swego niedługiego i bardzo ciężkiego życia była krawcową, modystką, urzędniczką w biurze adwokackim, przewodniczką po muzeach paryskich z Luwrem na czele, nauczycielką trzech języków, tłumaczką z pięciu języków, ale sława jej w łacińskiej dzielnicy Paryża zbudowana została na niskich cenach, które pobierała za nielegalne reperowanie garderoby najbiedniejszym studentom. W tej ostatniej czynności przysłużyła jej się biegłość w pięciu językach, bo przy okazji odbierania pocerowanych skarpetek studenci chętnie z nią gawędzili, a było wśród nich wielu cudzoziemców.

Talenty swoje matka rozwinęła głównie tam — w Paryżu, gdzie wraz z mężem przemieszkała 16 lat w umeblowanym pokoju hotelu przy ulicy Tournefort 6, piąte piętro bez windy, telefon na dole w portierni, dwufajerkowa kuchenka w pokoju za kretonową zasłoną.

Matka bardzo kochała swego męża, którym tak a nie inaczej pokierowała historia i trudno by jej było przyjmować tyle skarpetek do cerowania, żeby wystarczyło również i na moje utrzymanie, biorąc pod uwagę nawet taką ewentualność, że mąż jej zgodziłby się na mój stały pobyt w pokoiku na piątym piętrze hotelu przy ulicy Tournefort 6. Sprawę tego hotelu chciałabym spuentować.

Kiedy w roku 1957 po raz pierwszy po wojnie, a wiele lat po śmierci matki znalazłam się w Paryżu, zaraz po przyjeździe odbyłam pielgrzymkę na Tournefort 6. Weszłam do hotelu i długo, pewnie za długo, rozglądałam się po niezmienionym wnętrzu. Pani w moim wieku podeszła, pytając, czym może służyć jako właścicielka hotelu.

— Przed wojną tu na piątym piętrze mieszkała przez 16 lat moja matka — powiedziałam.

„Patronka" wydała pełen emocji okrzyk i przyjrzała mi się z bliska, poczem pobiegła w głąb portierni, wołając:

— Michel, Michel! C'est la fillette de madame Eleonore, qui est venue!

Tu pozostałam córeczką pani Eleonory. Obecna właścicielka hotelu była oczywiście córeczką dawnych właścicieli, Francoise, z którą niegdyś, za moich wizyt u matki, zwyczajem nastolatek zamieniałyśmy się bluzkami i szeptałyśmy po kątach. Michel, jej brat, przed wojną miał krosty, a teraz łysinę.

I to też już przeszłość. W czasie mego ostatniego pobytu w Paryżu znów pobiegłam na Tournefort. Hotel wewnątrz zmodernizowany, zamiast ubogich studentów zamieszkały przez bogatych turystów. Nie znalazłam Francoise, nie było Michela. Przestało istnieć ostatnie miejsce, gdzie byłam córeczką pani Eleonory. A sama pani Eleonora istnieje już tylko na tych kartkach.

d.c.n.

Jedną z najkoszmarniejszych cech Kazimierza Dolnego jest to, że zwykły śmiertelnik może doń dojechać tylko „pekaesem". Ponadto jest to miasteczko dość sławne, ale nie będę — wzorem sporej części korespondentów zagranicznych — czerpał pełnymi garściami z bedekerów i przewodników.

JERZY WILMAŃSKI

PKS-em w Polskę...

Zanotuję tylko, że położone jest istotnie malowniczo, z bardzo ładnie zrujnowanymi resztkami zamku królewskiego z XIV wieku, za paroma kamieniczkami, które na kolorowych zdjęciach folderów wyglądają uroczo, a w istocie są dość obskurne, jeśli z bliska popatrzeć.

Nazwę Kazimierza nosi miasto, być może, od Kazimierza Sprawiedliwego, który ówczesną wieś oddał klasztorowi norbertanek z Krakowa, a być może od Kazimierza Wielkiego, który nadał wsi prawa miejskie. Choć to też jest niepewne — bardziej niż królewskie ksiuty z Esterką.

Najmniej jednak sławną a — jak się rzekło — najkoszmarniejszą cechą Kazimierza jest konieczność dojechania tu „pekaesem". O komunikacji samochodowej pisałem dwa lata temu, że jest to — jak mówi lud polski — balagan na kółkach. Lud polski mówi to oczywiście dosadniej. Pamiętam, że wówczas parę osób bardzo się o te słowa obraziło.

Doskonale to rozumiem. Na pewno niemiło jest być dyrektorem instytucji, o której źle się mówi. Ale jeszcze mniej zabawne jest korzystanie z usług takiego przedsiębiorstwa. Korzystanie zresztą odpłatne, co stwarza sytuację świadczenia usług, a nie świadczenia łaski.

No, właśnie. Kupiłem w „Orbisie" bilet na autobus pośpieszny Łódź-Lublin przez Puławy. Bilet miał numer miejsca, ja miałem sporą walizkę, a autobus miał tzw. rozkładowe skojarzenie z Puław do Kazimierza.

W efekcie zostałem sam z walizką.

Obsługa autobusów PKS od dawna już zaniechała umieszczania bagażów podróżnych na dachu wozu. Nie i już. Ponieważ jednak ludzie jeżdżą raczej z bagażami, miałem pod nogami walizkę, nogi pod brodą, obok jejmość z trzema paczkami, na kolanach cudze dziecko, które najpierw zasnęło, a potem było łaskawe zrobić siusiu na moje spodnie... Dziecko było karmione na witaminach, bo plamy zostały.

Kierowcę-konduktora mało obchodziły bilety już wykupione gdzie indziej. Interesowali go raczej pasażerowie na trasie — nawet ci machający ręką na szosie. Zatrzymywał się więc nawet częściej niż autobus zwykły. Ot, normalny rachunek ekonomiczny.

Ja jednak występuję w imieniu rachunku ekonomicznego tysięcy pasażerów. Dlaczego mam się godzić na fikcję autobusu pośpiesznego, dlaczego mam do tej fikcji dopłacać? Dlaczego, jak na ironię, wypisuje mi się numer miejsca w autobusie, skoro wiadomo, że pasażerów i walizek będzie w tym samym autobusie, dwa razy więcej niż potrzeba?

Dyrekcja PKS tego nie wie? Wie dobrze. Zaraz za Tomaszowem zatrzymał autobus pewien pan, oświadczył: **„służbowy — do Spały, powiem panu, gdzie stanąć..."**

Kierowca skrupulatnie wykonał polecenie, łamiąc po raz któryś z rzędu przepisy, bo dwukrotnie zatrzymywał się między przystankami na prywatne żądanie służbowego pana. Nie sądzę, aby ów pasażer był nocnym stróżem w tomaszowskim PKS.

Niech mnie więc dyrekcja PKS nie pyta, którego to było dnia, jaki numer autobusu i czy kierowca miał oczy piwne czy niebieskie. Dyrekcja PKS wie dobrze, że takie praktyki są powszechne — wszyscy o tym wiedzą. Nie my — pasażerowie — bierzemy pensje kontrolerów i dyrektorów, ażeby bawić się w łapanie jednego ze stu kanciarzy. Problem musi być załatwiony kompleksowo, a nie zaklajstrowany jednostkową represją finansową, która niczego nie załatwi.

Tak więc autobus się spóźnił i znalazłem się w Puławach nocą z walizką, biletem PKS i marzeniem znalezienia taksówki. Oczywiście znalazłem bez trudu, puławscy taksówkarze znają swój fach.

Po prawie siedmiu godzinach podróży, przebywając zawrotną ilość dwustu kilometrów, osiągnąłem — w stanie krańcowego wyczerpania — perłą wypoczynkową: Kazimierz Dolny.

Teraz mógłbym zaserwować czytelnikowi garść wypisów historycznych z jakiegoś fol-

(Dalszy ciąg na str. 9)

Andrzej Grun — „PTAKI" (drzeworyt)

milcząca pieśń

WSPOMNIENIA ŁÓDZKICH PEPEROWCÓW

„MILCZĄCA PIEŚŃ" to książka, której nie można zrecenzować, czy w podobny sposób przedstawić czytelnikowi. Czyta się ją bowiem ze ściśniętym gardłem, ze wzruszeniem, z bólem — tylu pięknych, ofiarnych ludzi zginęło, cierpiało okrutne męki w kaźniach gestapo i obozach koncentracyjnych. Ale czyta się również tę książkę z ogromną dumą i świadomością, że nasz Naród i Partia w dniach najcięższej próby zachowały nieugiętą postawę, siłę woli i charakteru, męstwo i ofiarność. Czytając tę książkę o wydarzeniach sprzed ćwierćwiecza odczuwamy świadomość kontynuacji, rozumiemy, że nie byłoby takiego „dzisiaj", gdyby w owych mrokach przeszłości nie walczyli, ginęli, a ostatecznie zwyciężyli ludzie — patrioci i komuniści — bohaterowie tamtych lat.

„MILCZĄCA PIEŚŃ", wspomnienia łódzkich peperowców, to książka autentyczna, jej autorami są łódzcy robotnicy, w większości dawni członkowie KPP, którzy mimo rozwiązania partii w 1938 r. nie przerwali swej działalności i w latach okupacji hitlerowskiej podjęli walkę. Wydawnictwo Łódzkie wybrało z Archiwum KL PZPR trzynaście wspomnień: Juliana Lisowskiego, Marii Janic, Stanisława Kłosińskiego, Marii Krapp, Tadeusza Sprucha, Tadeusza Partyki, Józefa Jagielskiego, Adeli Jaranowskiej-Medyńskiej, Czesława Dubilasa, Stanisława Madeja, Adama Wedemana, Marii Pyziakowej, Jana Piątkowskiego. Poniżej drukujemy drobne fragmenty z sześciu wspomnień, obrazujące różne formy i etapy walki łódzkich peperowców.

STANISŁAW KŁOSIŃSKI

Początki działalności wydawniczej były skromne — paręset egzemplarzy „Głosu Łodzi", ukazującego się nieregularnie, mniej więcej raz na dwa tygodnie. Jednak po wstępnym okresie rozruchu, „technika" partyjna zaczęła rozwijać się bardzo pomyślnie. Mniej więcej w ciągu siedmiu miesięcy istnienia drukarni doszliśmy do takich wyników, że „Głos Łodzi", organ Łódzkiego Komitetu Okręgowego PPR, wydawaliśmy w nakładzie 1500—2000 egzemplarzy. Poza tym wydawaliśmy też „Chłopskie Jutro" — pismo dla wsi. Trzeba tu bowiem wyjaśnić, że organizacja łódzka obejmowała swoim zasięgiem cały tzw. „Kraj Warty", zarówno najbliżej położone miasta, miasteczka i wioski jak też Włocławek, Płock i Poznań. Potrzebne więc były gazetki o zróżnicowanym profilu.

Stopniowo wobec ciągle wzrastającego zapotrzebowania na naszą prasę konspiracyjną, nasza baza techniczna przestała wystarczać. Powielacze były mało wydajne, a poza tym miały tę niedogodność, że psuły sporo papieru. Mniej więcej co trzecia odbitka nie udawała się i szła do kosza. Postanowiliśmy więc zdobyć powielacz rotacyjny. Mieliśmy już taki na oku, stał nie używany w budynku, w którym przed wojną mieściła się gazeta codzienna „Echo", u zbiegu ulic Żwirki i Piotrkowskiej.

JULIAN LISOWSKI

Od razu nawiązałem kontakt z Tadeuszem Głąbskim i innymi starymi towarzyszami. Od początku ich powstania działałem w komitetach sabotażowych, a później w organizacji Front Walki za Naszą i Waszą Wolność. Po powstaniu Polskiej Partii Robotniczej byłem jednym ze współorganizatorów Komitetu Dzielnicowego Śródmieście-Prawa. Do Gwardii Ludowej przystąpiłem razem z dwoma swymi synami — Zdzisławem, ps. „Śmiały" i Tadeuszem, ps. „Tadzik". Tadeusz nie ukończył jeszcze wówczas szesnastu lat.

Pierwszą akcję bojową przeprowadziliśmy w lutym bądź w marcu 1943 roku. Był to eks na biura „Luftschutzu", hitlerowskiej organizacji obrony przeciwlotniczej, które mieściły się przy ulicy Nowomiejskiej 3. W biurach „Luftschutzu" po zakończeniu pracy zawsze ktoś z personelu pozostawał na całonocny dyżur. Zdzisław miał tam kolegę — Bogdana Grzelaka. Jednego razu Grzelak pozbył się pod jakimś pretekstem pracownika, który z nim razem dyżurował i wpuścił w nocy do lokalu „Luftschutzu" mego syna. Obejrzawszy wspólnie teren ułożyli szczegółowy plan przeprowadzenia akcji.

Na akcję poszliśmy w sześciu: Czesław Hutor, trzech Lisowskich i dwóch gwardzistów z Dzielnicy za gettem — „Franek" i „Grzesiek". Bronisław Znojek, dowódca Łódzkiego Okręgu GL, dał nam dwa pistolety. Po otrzymaniu broni odczekaliśmy do zmierzchu i wyruszyliśmy do akcji. Należało się śpieszyć, ażeby wykonać ją przed godziną policyjną.

Biura „Luftschutzu" mieściły się na pierwszym piętrze od frontu. Hutor i „Śmiały" zażądali otwarcia drzwi, podając się za monterów z elektrowni. Weszliśmy wszyscy poza jednym, który został na czatach.

Eks przyniósł nam bogaty plon: powielacz elektryczny, radio, maszynę do pisania i kilka pieczątek „Luftschutzu", które mogły być bardzo przydatne dla organizacji. Chłopcy sprowadzili dwie dorożki z Placu Wolności i wszystko, jakby chodziło o jakąś przeprowadzkę, na nie załadowaliśmy. Choć na ulicach było dużo wojska i policji, na szczęście nikt się nami nie zainteresował.

MARIA JANIC

Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze usiąść, ani cokolwiek zjeść, gdy wpadł chłopak z czujki.

— Niemcy jadą! — krzyknął.

Chłopcy rzucili się ku wyjściu, chciałam biec za nimi, ale nagle przypomniałam sobie, że w sąsiednim pokoju znajduje się Sasza, więc pobiegłam do niego, uchyliłam drzwi i zawołałam.

— Sasza, Niemcy.

Ta chwila zwłoki sprawiła, że nie zdołałam już wraz z innymi wydostać się na zewnątrz w pierwszej fazie potyczki, gdyż strzelanina od razu rozgorzała na dobre. Stałam razem z Henrykiem Marciniakiem prawie wciśnięta we framugę drzwi wiodących na werandę, a w dodatku musiałam z całej siły je trzymać, bo od wewnątrz szarpały je domowniczki, które z dziećmi na rękach, zupełnie oszalałe ze strachu, chciały uciekać do lasu. Spojrzałam na polanę. Kilkanaście metrów od domu leżało trzech chłopców. Nie strzelali i nie ruszali się. W tym momencie automaty umilkły na chwilę. Wykorzystałam to, dałam susa przez barierkę werandy i prawie natychmiast znalazłam się obok chłopców leżących na polanie. Chyba nie żyli. Tymczasem ogień rozgorzał na nowo i do tego z większą jeszcze siłą.

Nagle dostrzegłam między drzewami grupkę naszych. Ostrzeliwali się i wycofywali w kierunku polany. Był między nimi Czesiek, nagi do pasa. Trzymał w jednej ręce pistolet, a w drugiej koszulę. Myl się akurat pod studnią, kiedy nas zaatakowano. Kiedy strzały znowu na chwilę przycichły, zauważyłam, że jeden spośród trójki leżących na polanie ma otwarte oczy. Był to Tolek Grabowski.

— Czemu nie wstajesz? — zapytałam.

Wskazał na okolicę serca. Dopiero wtedy dostrzegłam ranę. W chwilę potem głowa opadła mu bezwładnie na bok. „To tak giną ludzie" — przebiegło mi przez myśl. Schyliłam się, ażeby wyjąć mu z ręki pistolet, ale ktoś inny mnie ubiegł. Strzelanina znów wybuchła na nowo. Grupa ostrzeliwujących się chłopców rozpierzchła się. Ja uskoczyłam za wrak samochodu, który leżał porzucony obok domu. Serie niemieckie słychać było coraz bliżej, nasi odpowiadali im pojedyńczymi strzałami z pistoletów. „Byle mnie tylko nie wzięli żywcem" — powtarzałam sobie w duchu. Nagle błysnęła mi myśl: „Uciekać!". To jasne, mogę przecież uciekać. Broni i tak nie mam, torba z opatrunkami została w leśniczówce. Uskoczyłam więc za najbliższe drzewo, potem za następne i znów następne. Był jakiś rów, który pokonałam jednym susem i niespodziewanie, bo przecież nie wiedziałam, dokąd biegnę, znalazłam się w gęstej brzezince. Byli tam Gajek, Wołos i jeszcze kilku innych.

Pozostało nas tylko osiem osób.

STANISŁAW MADEJ

Największą akcją zorganizowaną w Zellgarnie przez Dankowskiego i jego gwardzistów było spalenie transformatora.

Do przerobu celulozy zużywano dużo wody, w związku z tym Niemcy zmuszeni byli rozbudować dawną sieć wodociągową. Wykopano kilkanaście nowych studzien, zainstalowano najnowocześniejsze pompy i dla zasilania całego tego systemu wodociągowego zainstalowano specjalny transformator. Przed jego rozruchem wszystko zostało dokładnie sprawdzone, ale w czasie jaki pozostał między przeprowadzeniem kontroli pracy transformatora, a uroczystym uruchomieniem nowego systemu wodociągowego gwardziści zdążyli spiąć przewody elektryczne, zgodnie z wcześniej już przygotowanym schematem.

Nadeszła chwila oficjalnego otwarcia. W stacji pomp rojno było od galowych mundurów gości. W uroczystości uczestniczyła również cała dyrekcja Zellgarnu. W odpowiedniej chwili inżynier Schwarz dał znak Dankowskiemu:

— Włączaj.

Dankowski przerzucił „hebel" i w tym samym momencie nastąpił huk i błysk. Mimo, że awaria była niezwykle poważna i trudna do wytłumaczenia, nikt z nas na szczęście nie został pociągnięty do odpowiedzialności, uznano bowiem, że przyczyną krótkiego spięcia była jakaś przypadkowa omyłka. Fabryka została unieruchomiona na wiele godzin, co spowodowało kilkaset tysięcy marek strat.

Z innych wielkich akcji przeprowadzonych w Zellgarnie przypominam sobie wypuszczenie do ścieków masy celulozowej z ogromnych zbiorników. Zadaniem tym kierował Artur Maciejewski.

Zapis pamięci

Z wieży niemieckiego kościoła za Czerwoną bił snajper. Padali ranni żołnierze radzieccy — szkarłacił się śnieg. Dochodziło iskrzące się w słońcu południe i pachniało wolnością. Był 19 stycznia 1945 roku.

Wacław Kania, który jako piętnastoletni chłopak na posyłki, rozpoczął pracę w laboratorium chemicznym fabryki Geyera, a po przyjściu Niemców w 39 r. zmieniał wiele zawodów, by zakotwiczyć się na stałe już w straży przeciwpożarowej, 19 stycznia w południe stał przy portierni. Przypadł do ziemi za węgłem, kiedy trzy czołgowe pociski łupnęły w fabrykę: jeden odbił się od ściany biura, był jeszcze gorący, pies strażacki usiłował go chwycić w zęby; drugi trzasnął w farbiarnię; trzeci rozwalił parkan od strony Czerwonej.

Na Piotrkowskiej płonęło auto z dwoma gestapowcami, trzech oficerów wyszło z piwnicy z podniesionymi rękami.

Był pierwszy dzień wolności, niespokojny, wciąż groźny. Niemcy nocą dostali się do fabryki przez rozwalony parkan. Wytropił ich pies i zostali ujęci. Jeden krył się nadal. Przebrał się w robocze ubranie, ale rozpoznał go brukarz Barczak i byłby to przypłacił życiem. W sukurs przyszło trzech Rosjan; Niemiec próbował bronić się granatem. Wyciągnięto go za nogi spod maszyny. Był nieprzytomny ze strachu.

Fabryka była czysta.

Przybył Gustaw Geyer. Niemcy byli odsunęli go od zarządzania fabryką, bo podpisał, i to pod groźbą śmierci, tylko 25-procentową volkslistę. Ludzie nie mieli mu tego za złe, pamiętali, jak we wrześniu 1939 roku Niemcy nakłaniali do podpisania volkslisty Roberta Geyera, konsula finlandzkiego, ale on za bardzo czuł się Polakiem, więc strzelono mu w plecy, na piętrze pałacu, kiedy wkładał futro. Na pogrzebie robotnicy przemykali się chyłkiem pod ścianami, krawędzią chodnika. Nie lubili Karola Geyera.

W świetlicy Gustaw Geyer podejmował byłych jeńców wojennych: Rosjan, Belgów, Francuzów. Dostawali jedzenie i picie, Rosjanie popisywali się występami, śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła" i ludzie płakali...

Starzy, zatwardziali Niemcy, którzy odsuwali Polaków ze wszystkich stanowisk, zwozili teraz, zaprzęgnięci do wózków, kartofle.

Wacław Kania i inni wiedzieli już — działała przecież komórka PPR — że fabryka stanie się własnością robotników. I oni, ludzie żywi, którzy tworzyli historię tego zakładu, licytują się teraz wspomnieniami.

A więc Kania:

— Żeby zabezpieczyć mienie, zaczęliśmy od postawienia tego rozwalonego parkanu. Brakowało rąk do pracy, najpierw było tylko 30 ludzi, więc zmusiliśmy do roboty Niemców, pod nadzorem strażaka Kaźmierczaka. Brakowało miedzianych wałów drukarskich, szósta maszyna drukarska rozebrana; trzeba było rozminować Piotrkowską. W kilka dni po wyzwoleniu, już w poniedziałek, uruchomiliśmy przędzalnię odpadkową, nic innego nie można było zrobić, gdyż brakowało zapasów surowca. Nikt nie oglądał się za pieniędzmi, byle tylko było co włożyć do gęby. Zarąbaliśmy pięć świń, nawet konia ze złamaną nogą, i dzieliliśmy się porcjami mięsa.

Wacław Kania przepracował w fabryce 36 lat. Dziś jest kierownikiem kuchni farb.

— Kanię to ja znam prawie od dziecka, bośmy mieszkali po sąsiedzku — mówi **Irena Noskiewicz**, zatrudniona u Geyera od 1939 roku, jako tkaczka, po wojnie zaś jako cerowaczka na przędzalni — on jako chłopak wiele przeżył, mnie też życie nie oszczędzało. Mąż nie wrócił z wojny, zostałam sama z dzieckiem, kierownicy od Geyera, którzy podczas wojny mieli własną fabrykę przy obecnym Placu 9 Maja, chcieli, żeby tam pracować po godzinach, więc odmówiłam, ze względu na dziecko, to mnie wyrzucili, ale wróciłam ponownie do fabryki. Trzeba było kręcić, bujać, bo wybierali kobiety na roboty. Chowałyśmy się na przędzalni za zbiornikiem, warczały motory, trzęsłyśmy się ze strachu, ale to nie były autą do wywózki... Pamiętam, jak kazali nam maszyny rozkręcać. Robiliśmy tak, ale kiedy Niemcy wyszli, skręcaliśmy te maszyny na powrót. Byli tacy, co tą akcją kierowali. Szwaby ładowali wszystko do skrzyń, żeby wywieźć, chcieli tak zrobić z maszyną parową, gdzie było dużo mosiądzu; ta maszyna to serce fabryki, tego nie dałoby się dorobić, więc uratowaliśmy tę maszynę parową...

A po wyzwoleniu? Szyby powybijane, sami żeśmy wchodzili na dach, lepili, kleili, żeby kurz nie leciał do maszyn. Była dobra organizacja, ustalono, że za dobrą robotę każdy dostanie odpowiednią ilość punktów; za te punkty miast pieniędzy ludzie otrzymywali materiał, który sprzedawali i było trochę na życie. Specjalnie wybrani ludzie jeździli po wsiach, kupowali rąbankę, którą dzielono sprawiedliwie wśród robotników, szczególnie dbając o kobiety z małymi dziećmi. Wyszliśmy po latach z tej biedy, człowiek jednak trochę przygaszony, bo już w tym roku na rentę i żal... Żeby tylko ci młodzi potrafili wszystko docenić, oni mają teraz szkoły, coraz lepsze warunki, zakład przecież będzie odtworzony, a o tamtych czasach mało wiedzą. Choćby o tym, że kiedyś sekretarzem partii był tow. Fryc, palacz i wszystkie zebrania odbywały się w kotłowni, bo sekretarz nie mógł odejść od roboty, nie tak jak dziś: w fotelach, przy kawie...

Czesława Borys przyszła do zakładu dopiero 11 października 1949 roku i do dziś pracuje na przędzalni odpadkowej. Uśmiecha się z zażenowaniem, twierdzi, że niewiele ma do powiedzenia.

— No cóż, trudno było, jak wszędzie. Przeżyło się jednak tamte dni, a dziś — organizacja lepsza, większa dyscyplina i szacunek ze strony kierownictwa. Bo w przemyśle lekkim, gdzie robota jest ciężka, z nowymi trzeba delikatnie, żeby ich nie zrazić, przyzwyczaić. Jestem tu 24 lata, proponowano mi lepszą robotę, ale pozostałam przy swojej. Zwyczajnie — przywiązanie do warsztatu pracy. Kiedyś pracowało się z ludźmi starszymi, teraz przychodzą młodzi, są różne zgrzyty, ale ogólnie — atmosfera lepsza... Żeby jednak coś zostało w tej waszej gazecie z dawnych czasów, to powiem, że inne, fajne były te „pierwsze maje". No nie, nacisk był, ale każdy i tak szedł odetchnąć świeżym powietrzem, cieszył się z tej nowej Polski, potem dawano obiady, ludzi odwożono samochodami do domów. Dzisiaj nikt nie musi liczyć na darmowy obiad, każdego stać na przejazd, no i komunikacja jest lepsza... Co tu zresztą porównywać?...

Na wystawie otwartej dnia 14 kwietnia w sali Domu Kultury, nad dawnym Geyerowskim stawem, o czym napiszę niżej, znalazłem zdjęcie siwowłosego robotnika w berecie i zasmarowanym kombinezonie, ściskającego dłoń radzieckiego oficera. Rozmawiałem z tym robotnikiem. To Stanisław Gostyński, który u Geyera zaczął pracować jako ślusarz, na przędzalni średnioprzędnej i odpadkowej w roku 1935.

Powiedział:

Taki był czas. Przedwojen-

W Zellgarnie dosłownie ani jeden dzień nie mijał bez jakiegoś aktu sabotażu. Niemcy ponosili z tego tytułu olbrzymie straty, opóźniały się dostawy dla frontu, co ich najbardziej doprowadzało do wściekłości. Armia wołała o bawełnę strzelniczą, a tymczasem ciągle postoje, powodowane przez nas, obniżały zdolności produkcyjne fabryki.

Prowadząc sabotaż, wykorzystywaliśmy jednocześnie chemikalia i urządzenia fabryczne do wyrobów materiałów wybuchowych i innych tego rodzaju środków. Wynoszony z fabryki kwas siarkowy i azotowy służyły jako podstawowy środek do produkcji ładunków zaplających. Ładunki te gwardziści podkładali w stogach zboża, należących do bogatych chłopów niemieckich. Rzucano je również na pociągi przejeżdżające linią kolejową prowadzącą pod wiaduktem przy obecnej ulicy Nowotki.

MARIA KRAPP

Przygotowując się do utworzenia oddziału partyzanckiego, musieliśmy pomyśleć nie tylko o uzbrojeniu, lecz także o zorganizowaniu ciepłej odzieży dla przyszłych partyzantów. W tym celu postanowiono uzyskać ją w fabryce swetrów, która mieściła się przy rogu ulicy Browarnej i Sanockiej, niedaleko mojego domu. Nie byłam wtajemniczona w tę akcję i gdyby nie zbieg okoliczności, być może nigdy bym się o niej nie dowiedziała.

Kierownictwo akcji zlecono Cześkowi Hutorowi. Kiedy już załadowano swetry do worków, doszło do sytuacji, która zagroziła katastrofą. Grupa Hutora natknęła się mianowicie na patrol policji niemieckiej. Policjanci rzucili się w pogoń za chłopcami, dosłownie depcząc im po piętach. Czesiek Hutor nie miał innego wyjścia, musiał zaryzykować i szukać schronienia u mnie, gdyż inaczej na pewno dopadliby ich policjanci. I tak szczęśliwie się stało, że gdy skręcali z ulicy Strycharskiej w Smoczą udało im się na chwilę oderwać od pogoni. Nie było to łatwe, bo mieli przecież ze sobą cztery worki i dwie ciężkie walizy swetrów.

Przebieg tego wydarzenia pamiętam dokładnie. Nagle pojawił się w drzwiach zdyszany Czesiek.

— Czy możemy u ciebie przykucnąć? — zapytał.

— Wchodźcie szybko — odpowiedziałam, nie wiedząc jeszcze ilu ich jest i nie orientując się o co chodzi. Patrzę, a tutaj córeczka moja ciągnie już z sieni ogromny worek. Wrzuciliśmy wszystko do piwnicy, zatrzasnęliśmy drzwi wejściowe, zgasiliśmy światło i zaczęliśmy nasłuchiwać.

Czesiek zaproponował, że wyskoczą przez okno i ukryją się w ogródku.

— Nie — zaprotestowałam. — Siedźcie, co będzie to będzie.

Tymczasem słychać już było głosy i tupot podkutych butów na klatce schodowej. Za chwilę na tyłach domu pojawili się policjanci. Świecili latarkami i przeszukiwali każdy krzak.

— Widzisz — wyszeptałam. Czesiek ścisnął mi rękę i uśmiechnął się.

Spenetrowano podwórza i klatki schodowe kilku okolicznych domów, ale do mieszkań nie zaglądano. Po kilkunastu minutach ogromnego napięcia, usłyszeliśmy, że pogoń się oddaliła. Odetchnęliśmy z ulgą. Minęło jeszcze jedno niebezpieczeństwo.

MARIA PYZIAKOWA

Od chwili wstąpienia do partii aż do czasu aresztowania zajmowałam się udzielaniem pomocy ofiarom faszyzmu. Tak bezpośrednio jak ja nikt chyba z towarzyszy nie stykał się z okupacyjną nędzą, nieszczęściami, cierpieniem. Byłam pocieszycielką i powiernicą tych najciężej doświadczonych kobiet, którym zabrano mężów i synów, dzieci, którym zabrano ojców. Pod stałą moją opieką pozostawało szesnaście rodzin, a doryweczo pomagałam jeszcze wielu innym.

Pieniądze na ten cel gromadziły się ze sprzedaży obligacji Komitetu Pomocy Ofiarom Terroru Hitlerowskiego. Obligacje były rozprowadzane w Łodzi przez towarzyszkę Kuźniecową, w Pabianicach przez Lucjana Rozwensa i Mariana Łagiewczyka, w Ozorkowie zajmowali się tym Franciszek Kędzierski i Stefan Czerwiński. Ja z ramienia Komitetu Łódzkiego PPR, którego byłam członkiem, czuwałam nad całością akcji. Czasem, gdy towarzysze z Komitetu przeprowadzali kontrole, okazywało się, że rozdzielono więcej pieniędzy, niż zebrano. Bo nieraz trzeba było komuś dać od razu, nie patrząc na rozdzielnik. W takich wypadkach nie robiłam różnicy między pieniędzmi partyjnymi i własnymi. Nie mówię o tym, żeby się chwalić, to wcale nie było wyjątkiem w partii. Ludzie o wiele biedniejsi od nas oddawali ostatni grosz, wiedząc, że ich dzieci w każdej chwili mogą zostać sierotami potrzebującymi wsparcia. Najpiękniejsza ze wszystkiego była właśnie ta wielka solidarność robotnicza.

W połowie 1942 roku wyłoniła się również sprawa pomocy dla Żydów zamkniętych w getcie łódzkim. Tu już nie chodziło o pieniądze, lecz o dostarczenie żywności oraz opiekę nad uciekinierami z getta. Do akcji tej zostali wyznaczeni towarzysze mieszkający w sąsiedztwie mieszkający w sąsiedztwie dzielnicy żydowskiej. Przerzucali oni przez mur chleb, słoninę i inne produkty, które udawało się zakupić za skromne fundusze organizacji. Sprawy te, jak sobie przypominam, były kilkakrotnie omawiane na posiedzeniach Komitetu Łódzkiego.

Opracował: J. W.

WIERNOŚĆ I SKROMNOŚĆ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nie było. Nie zabiegał nigdy o własne sprawy, choć prawdę mówiąc, miał większe aniżeli inni do tego prawo...

Zbigniew Betnerowicz, jeden z pierwszych członków ZWM w mieście, z zawodu ekonomista i człowiek skrzętnie kompletujący dokumenty działalności ZWM na Ziemi Piotrkowskiej pokazał mi ankietę Tadeusza Adaszka:

— Tylko popatrz, jaka chuda! — powiedział. — Gdyby na jej podstawie oceniać tego człowieka — niczego szczególnego by się nie dowiedział. No, wzmianka, że był przewodniczącym koła ZWM w „Feniksie" już w czterdziestym piątym, druga, że w lipcu tego roku przystąpił do Młodzieżowego Wyścigu Pracy, że był aktywistą ZMP do 1950...

Betnerowicz dał mi odbitkę pocztówkowego zdjęcia Tadeusza Adaszka z tamtych lat: młody człowiek z Krzyżem Zasługi w klapie dziś niemodnej, dwurzędowej marynarki.

— Srebrny Krzyż Zasługi wtedy dostał — powiedział. — A kiedy w 1971 roku niektórych ludzi ruszyło sumienie i wrócono pamięcią do tamtych pięknych kart, przypomniano sobie o Adaszku, otrzymał Srebrnego „Janka Krasickiego" i Odznakę Honorową Województwa Łódzkiego...

Kiedy niektórych ruszyło sumienie...

Wreszcie ostatnio zaczęto w mieście pokazywać Tadeusza Adaszka i jemu podobnych. Ktoś tam, bodaj Zbigniew Betnerowicz, zwrócił uwagę na liche mieszkanie „młodzieżowego Pstrowskiego", pierwszego zwycięzcy socjalistycznego wyścigu pracy...

— Co z tego pamiętam najbardziej? — zastanawia się głośno Tadeusz Adaszek. — Najbardziej może uścisk dłoni Aleksandra Kowalskiego...

A oto co pisze doc. dr Czesław Kozłowski w wydanej w ubiegłym roku książce **„Związek Walki Młodych i Organizacja Młodzieży TUR w Łodzi i województwie łódzkim (1945—1948")**:

„Okupant pogłębił niedolę młodzieży robotniczej, czyniąc z niej niewolników. Nienawidziła ona murów fabryki, buntowała się przeciwko pracy na rzecz zwycięstwa Niemiec i jako jedną z form walki z okupantem uprawiała sabotaż. Z chwilą wyzwolenia zaistniała potrzeba natychmiastowej zmiany stosunku do pracy. Konieczne było uruchomienie fabryk, a wzrost produkcji przemysłowej w ówczesnej sytuacji miał niezmiernie ważne znaczenie..."

Tak w połowie roku 1945 zrodziła się wśród zetwuemowców Łodzi idea socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Zagadnienie to omówiono na jednym z czerwcowych posiedzeń łódzkiego Zarządu Miejskiego ZWM i podjęto decyzję o zorganizowaniu Młodzieżowego Wyścigu Pracy. W połowie lipca apele poszły do kół fabrycznych Łodzi, a w końcu tego miesiąca także do kół fabrycznych ZWM Ziemi Łódzkiej.

„Jak walczyliśmy zbrojnie z okupantem o utworzenie niepodległej, demokratycznej Ojczyzny — pisano w odezwie Komitetu Organizacyjnego Młodzieżowego Wyścigu Pracy — **tak teraz musimy walczyć o jej odbudowę. Jak podczas okupacji wyróżnialiśmy się zbrojnym czynem, tak teraz wyróżniajmy się najlepszymi wynikami w pracy i nauce".**

Zaczęły powstawać komitety fabryczne Młodzieżowego Wyścigu Pracy. Było jednak sporo oporów — jak każde novum i to rodziło wątpiących i oponentów sprawy, nawet pośród części, na szczęście nielicznej, aktywu organizacji ZWM. Część członków OM TUR, zwłaszcza w fabrykach, była gotowa współdziałać, część była przeciw. A i nie było jednoznacznego poparcia — jak stwierdza Kozłowski — ze strony przedstawicieli władz łódzkich. Wówczas to delegacja ZWM Łodzi wraz z przewodniczącym Zarządu Głównego ZWM udała się do Bolesława Bieruta z prośbą o objęcie patronatu. Uzyskano od prezydenta Krajowej Rady Narodowej słowo, że gdy tylko przyślą meldunek o rozpoczęciu Wyścigu, oficjalnie obejmie patronat. Delegacja złożyła również wizytę sekretarzowi generalnemu PPR Władysławowi Gomułce i premierowi Edwardowi Osóbce-Morawskiemu. I od nich uzyskano zapewnienie pełnego poparcia.

Zaczęło się 1 sierpnia 1945.

„Wzywamy — napisano w specjalnej łódzkiej odezwie — **młodzież pracującą w fabrykach wszystkich gałęzi przemysłu w Łodzi, aby z własnej inicjatywy w każdej fabryce zorganizowała i przystąpiła do wyścigu pracy..."**

Długa jest lista tych pierwszych zakładów, z których młodzież pod przywództwem ZWM stanęła wtedy do Młodzieżowego Wyścigu Pracy. Dzisiaj są to już nazwy historyczne: „John", „Schweikert", „Steinert", „Etington", „Poznański", „Warta", Łódzka Fabryka Nici, „Geyer", Łódzka Fabryka Płaszczy Gumowych, „Scheibler i Grohmann", „Widzewska Manufaktura"...

W województwie łódzkim stanęli do Młodzieżowego Wyścigu Pracy młodzi robotnicy z Piotrkowa Trybunalskiego, Pabianic, Tomaszowa Mazowieckiego, Ozorkowa i Zgierza.

Ten fakt pamięta Tadeusz Adaszek dokładnie: była niedziela, 25 listopada 1945.

— My, piotrkowianie, z Huty Szkła „Feniks" pojechaliśmy do Łodzi jako zwycięzcy. Grupy młodzieży ze sztandarami ZWM i OM TUR pomaszerowały w kierunku kina „Włókniarz". Tam odbyła się uroczystość

podsumowania pierwszego etapu Wyścigu. Pamiętam dokładnie te cyfry: 236. Tyle procent normy, najwięcej ze wszystkich, wykonałem... Był ze mną drugi w naszym zwycięskim zespole — Józef Łukasik, była Krystyna Dudek..."

Po wygłoszeniu przemówień, m. in. przez przewodniczącego ZG ZWM Aleksandra Kowalskiego, wręczono nagrody zwycięzcom pierwszego etapu. Były następne, np. drugi etap w 1946, wygrał Ryszard Adamczyk z piotrkowskiej „Hortensji" — 307 proc. normy.

„Otrzymali je między innymi — pisze Cz. Kozłowski — **19-letni Tadeusz Adaszek (236 proc. normy) — zegarek od Bolesława Bieruta, 17-letnia Alfreda Karpińska (218 proc. normy) — komplet dzieł Adama Mickiewicza od ministra Stefana Matuszewskiego, 21-letnia Maria Szymczak (228 proc. normy) — aparat fotograficzny od Władysława Gomułki, 17-letni Aleksander Janowski (194 proc. normy) — narty od Edwarda Osóbki-Morawskiego, materiał na płaszcz i zegarek, 17-letni Jan Druszkowski (181 proc. normy) — miesięczny urlop od ministra Hilarego Minca. Rozdano również 200 innych nagród. Sztandar przechodni Zarządu Wojewódzkiego ZWM otrzymał zwycięski zespół młodych robotników huty „Feniks" w Piotrkowie..."**

W Piotrkowie, w Łodzi i w województwie łódzkim ten i ów spośród grona starych działaczy ZWM nazywa Tadeusza Adaszka „młodzieżowym Pstrowskim". A przecież przezwisko to oparto o wyraźną nieścisłość historyczną. Wincenty Pstrowski, górnik kopalni „Jadwiga" w Zabrzu, dopiero 27 lipca 1947 roku ogłosił list otwarty do górników **„...zapoczątkowując nim** — jak czytamy w suplemencie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN — **ruch socjalistycznego współzawodnictwa pracy..."**

Na zakończenie łódzkiej uroczystości podsumowania pierwszego etapu Młodzieżowego Wyścigu Pracy w kinie „Włókniarz" w dniu 25 listopada 1945 roku, uchwalono rezolucję, która — jak można się przekonać, biorąc do rąk archiwalny numer „Walki Młodych" z 2. XII. 1945 roku — głosiła:

„Dumni jesteśmy, my, młodzież łódzka, że jak dawniej w walce, tak dziś w pracy przodujemy, że to właśnie od nas płynie inicjatywa młodzieżowego „wyścigu pracy". My młodzi robotnicy Łodzi zwracamy się do Was, Koledzy ze wszystkich miast i wsi. Do Was z fabryk i warsztatów, do Was z kopalni i hut, do Was od pługa i bro. ny, ze szkół i uczelni. Stańcie wraz z nami, w zwartym, wspólnym szeregu na apel budującej się Ojczyzny".

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

---

ny. Właściciel wykorzystywał niewielu wyrobiło te trzy miesiące do zapomogi. Pracowałem też w czasie okupacji, trzy razy chapnęli mnie do obozu, za trzecim razem zwiałem z Kłodawy do Łodzi. Na drugi dzień po wyzwoleniu przyszedłem do pracy. Zakład zniszczony, wybite szyby, nie ma węgla, bieda powojenna...

Kupowaliśmy świnie, krowy we wsiach, biliśmy na miejscu i dzieliliśmy bezpłatnie, bo nie było forsy na wypłaty. Montowaliśmy maszyny, dorabialiśmy części, każdy brał się do remontu, bo już wiedział, że ta fabryka jest nasza!

Pytą pan o tamte zdjęcia? Powiem krótko, bez samochwalstwa. Było tak: Niemcom brakowało stali i żeliwa, przeto nakazali tłuc niewolnikom stare maszyny na złom. To było po drugiej stronie Piotrkowskiej, w Białej Fabryce nad stawem. Pracowałem razem z jeńcami. Zgadano się ze mną, że ktoś chce uciec. Sprawę obgadaliśmy, Rosjanin miał wejść do ubikacji za swoją potrzebą. Oderwaliśmy dwie deski w tylnej ścianie, ruski wszedł załatwić się, Niemiec stanął pod drzwiami na straży, a ruski dał dyla przez te oderwane deski, przelazł zamarznięty wówczas staw i przez park dostał się do zawczasu umówionego i przygotowanego mieszkania na Przybyszewskiego. Trzymaliśmy go tam przez dwa tygodnie w starym kufrze, jadł, jak to w czasie wojny, brukiew i co się dało. Potem poprosił, żeby go wsadzić do tuszyńskiego tramwaju. Zrobiliśmy tak. Wsiadł, pojechał i... zaginął... I co pan powie — po siedmiu latach zjawia się w Łodzi, odnajduje mnie, jest spory jubel, całowania, wspominki, kupa serdeczności, wzruszenia. Ten Rosjanin, któremu życie uratowałem, to oficer radzieckiego lotnictwa, Sasza Kuźniecow...

Tak było, tak wspominają ludzie żyjący historią tego zakładu, historią młodą, bo zaledwie czterdziestoletnią. Może by więc skok w dalszą przeszłość, taki głębszy łyk historii?... A więc:

1828 — podpisanie kontraktu na osiedlenie się w Łodzi Ludwika Geyera.

1835 — powstaje w Łodzi pierwszy zakład bawełniany, zwany Białą Fabryką, który w roku 1862 upada, a który w prapoczątkach (rok 1845) posiadał 60 maszyn przędzalniczych i 176 krosien. Podczas pierwszej wojny światowej istniejąca tkalnia, farbiarnia i drukarnia uległa kompletnej dewastacji przez okupanta niemieckiego.

W latach 1905—6 robotnicy od Geyera walczyli na barykadach. Po przejęciu władzy przez robotników po II wojnie światowej, zakład rozszerza się, przyłączają się do niego dwa inne przedsiębiorstwa, a **w roku 1950 przyjmuje imię Feliksa Dzierżyńskiego,** później zaś eksportowe imię „Eskimo", bo coraz szersza jest ekspansja jego wyrobów na rynki zagraniczne.

W roku 1972 wartość produkcji wyniosła 1.250.988 tys. złotych, zatrudnionych było 5.687 osób, liczba młodych przeważała, ZMS liczył 217 członków.

A więc prawie półtora wieku historii. 150 lat Łodzi przemysłowej. I dlatego powstała u Dzierżyńskiego **Izba Tradycji, Walki i Pracy,** prezentująca rozwój zakładu od małego Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych, po dzisiejsze „Eskimo".

Chodzę po wystawie, oglądam eksponaty. W przedsionku wielka panorama zakładu, widok dawnej dzielnicy Górnej z dymiącymi kominami, potem informacje ilustrujące koleje losu zakładu. Zdjęcia, dyplomy, wezwania Rady Delegatów Robotniczych, świadectwa bezrobocia i strajków, tu liczy się każdy stempel komitetów strajkowych, stare książeczki obrachunkowe, w nich notatki o zwolnieniach, zadłużeniach, karach dla robotników, potem stare świadectwa pracy, oryginały dokumentów wartościowych, dokumenty w języku rosyjskim i niemieckim. Stara i nowsza historia, zdjęcia ilustrujące osiągnięcia sportowe i artystyczne wczoraj i dziś, robotnicy jako pierwsi gospodarze zakładu, wycinki z prasy o socjalistycznym współzawodnictwie, najnowsze, najbardziej wymowne osiągnięcia socjalne. Inicjatorem stworzenia tej Izby był dyrektor **Sucharzewski,** realizatorem zaś spółka autorska: kustosz Muzeum Historii Włókiennictwa, mgr **J. Kaczmarek** i socjolog przemysłowy z „Eskimo", mgr **M. Zarzycka.**

— Włączyłem się społecznie do akcji — **powiedział J. Kaczmarek** — bo uważam, że otwarcie wystawy jest jedynie pierwszym etapem naszej pracy — za czym przyjdą dalsze badania. Spółka: historyk — socjolog może bowiem wiele zdziałać: jest wszakże wiele materiału historycznego o znaczeniu zabytkowym, w tym również tzw. wywołane (informacje ustne), których sporo zdobyliśmy dzięki penetracji w środowisku emerytów i rencistów. Zaniedbania w tej dziedzinie spowodowały, że wymknęły nam się informacje, które można było zdobyć w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, a także sześćdziesiątych. Strata jest poważna, odchodzą bowiem ludzie, a z nimi pamięć o rewolucji 1905 r. i okresie międzywojennym. Myślę, że nasza „spółka" nie zostanie rozwiązana i będzie kontynuować badania tam, gdzie wciąż żyje pamięć. Zdobyliśmy wśród ludzi podeszłych wiekiem zespół informatorów z różnych środowisk, którzy nadesłali na wystawę mnóstwo eksponatów, z których nie wszystkie, ze względu na brak miejsca, mogły stać się eksponatami wystawowymi, za co przepraszamy naszych współpracowników.

Socjolog **M. Zarzycka** dodała:

— Dzięki przywiązaniu i poświęceniu starych robotników w r. 1945 zakład szybko odżył i zaczął produkować dla kraju. Pragniemy, aby to przywiązanie zaszczepić młodym, przystępującym do pracy. Nim staną przy warsztatach, winni poznać i docenić walkę ich ojców i dziadów, wiedzieć, dzięki komu i dlaczego pracują w obecnych, coraz lepszych warunkach.

Ta wypowiedź jest chyba najlepszym komentarzem do reportażu...

RYSZARD BINKOWSKI

ON

Rys. Jakub Erol

FRANZ KAFKA, jeden z największych artystów naszych czasów, przyszedł na świat w r. 1883 w Pradze, tam pracował jako urzędnik i zmarł w roku 1924. Sławę przyniosły mu głównie powieści: „Proces", „Zamek" i „Ameryka". W Polsce ukazał się także m. in. tom jego opowiadań pt. „Nowele i miniatury" (Warszawa 1961), w skład którego wszedł pierwszy cykl aforyzmów Kafki z r. 1917—18 p.n. „Rozważania o grzechu, cierpieniu, nadziei i słusznej drodze" w przekładzie R. Karsta.

Niniejszy wybór oparty jest na wydaniu „Er". Suhrkamp Verlag 1965 w układzie M. Walsera i zawiera aforyzmy z drugiego, późniejszego o dwa lata, cyklu „On", gdzie jak w pierwszym kulminują się sprzeczności kafkowskiej wizji świata i człowieka.

Nie publikowany w Polsce fragment twórczości F. Kafki drukujemy w przekładzie młodego łódzkiego tłumacza **KRZYSZTOFA BOROWIKA**.

ZAPISKI Z ROKU 1920

Nie przygotował się należycie na żaden wypadek, ale nawet nie może sobie za to czynić wyrzutów, gdzież by bowiem w tym życiu, tak dręcząco w każdej chwili żądającym gotowości, był czas, aby się przygotować, a nawet gdyby ten się znalazł, czyż można by się było przygotować, zanim się pozna zadanie, to znaczy, czy można byłoby w ogóle wytrzymać naturalne, nie tylko sztucznie wymyślone zadanie? Toteż choć już od dawna jest pod kołami, w sposób dziwny, ale zarazem pocieszający, na to przygotowany był najmniej.

Zadowoliłby się więzieniem. Skończyć jako więzień — oto cel jakiegoś życia. Lecz była to okratowana klatka. Obojętnie, władczo, jak u siebie w domu, wlewała się i przepływała poprzez klatkę wrzawa świata, więzień był właściwie wolny, mógł brać udział we wszystkim, nic na zewnątrz nie uchodziło jego uwagi, mógłby nawet opuścić klatkę, pręty klatki znajdowały się przecież o metr od siebie, nie był bynajmniej uwięziony.

Czuje, iż przez to, że żyje, blokuje sobie drogę. Następnie z istnienia tej przeszkody bierze dowód na to że żyje.

Jego własna kość czołowa zagradza mu drogę, o swoje własne czoło rozbija sobie czoło do krwi.

Czuje się na tej ziemi uwięziony, jest mu ciasno, nęka go smutek, słabość, choroby, więzienne wizje obłąkańcze, żadna pociecha nie jest w stanie go pocieszyć, bowiem jest to właśnie tylko pociecha, krucha, przyprawiająca o ból głowy pociecha w obliczu brutalnego faktu uwięzienia. Lecz gdy go spytać, czego właściwie chce, nie potrafi odpowiedzieć, gdyż nie ma — to jeden z jego najmocniejszych dowodów — żadnego wobrażenia o wolności.

Chodzi o rzecz następującą: pewnego razu przed wielu laty siedziałem, zapewne dość smutny, na zboczu Wzgórza Świętego Wawrzyńca. Badałem swe życzenia względem życia. Najważniejszym lub najpowabniejszym okazało się pragnienie, by zdobyć taki pogląd na życie (i — co w istocie nieodzownie się z sobą wiązało — móc o nim na piśmie przekonać innych), w którym życie wprawdzie zachowałoby swe, naturalne ciężkie upadki oraz wzloty, lecz równocześnie nie mniej dobitnie uznane zostałoby za nicość, sen, stan zawieszenia. Może i piękne życzenie, o ile rzeczywiście bym tego pragnął. Coś w rodzaju pragnienia, by zbić stół z nader solidną precyzja rzemieślniczą, nic przy tym jednocześnie nie czyniąc, i to nie tak, by można było powiedzieć: „Dla niego zbicie stołu jest niczym", lecz: „Dla niego zbicie stołu jest czymś rzeczywistym, a zarazem także niczym", przez co przecież zbicie stołu stałoby się czymś jeszcze śmielszym, bardziej zdecydowanym, rzeczywistszym i, jeśli chcesz obłędniejszym.

Jednak on nie mógł sobie bynajmniej tak życzyć, albowiem pragnienie jego nie było pragnieniem, był on jedynie usprawiedliwieniem, gwarancją nicości, tchnieniem energii, jakiego udzielić chciał nicości, w której kierunku stawiał wówczas wprawdzie zaledwie pierwsze świadome kroki, którą wszakże odczuwał już jako swój żywioł. Było to wtedy pożegnanie świata pozorów z czasów młodości, który nigdy zresztą nie zwiódł go bezpośrednio, dopuszczał to tylko dzięki opiniom rozprawiającym wokół autorytetów. Tak wyłoniła się konieczność tego „życzenia".

Dowodzi tylko siebie samego, jedynym jego dowodem jest on sam, wszyscy rywale obalają go natychmiast, ale nie przez to, iżby go zbijali (jest nie do zbicia), a przez to, że dowodzą siebie.

Ludzkie wspólnoty polegają na tym, że jakiś osobnik dzięki sile swego istnienia zdaje się być zdolny odeprzeć inne, w sobie nieodparte jednostki. Dla nich jest to słodkie i pocieszające, ale brak temu prawdy, a przeto wciąż trwałości.

Był dawniej częścią monumentalnej grupy. Wokół jakiegoś podwyższonego ośrodka w przemyślanym porządku gromadziły się alegorie stanu żołnierskiego, sztuk, nauk, rzemiosł. Jedną z wielu był on. Obecnie grupa od dawna nie istnieje, albo przynajmniej on ją opuścił i sam przedziera się przez życie. Nie ma już nawet swego dawnego zawodu, ba, nawet zapomniał, co wówczas reprezentował. Chyba właśnie to zapomnienie rodzi jakiś smutek, niepewność, niepokój, pewne, mącące teraźniejszość, pragnienie minionych czasów. A jednak pragnienie to jest ważnym składnikiem siły życia, lub też może nią samą.

Nie żyje dla swego osobistego życia, nie myśli dzięki swemu osobistemu myśleniu. Czuje się tak, jak gdyby żył i myślał pod przymusem rodziny, która sama wprawdzie posiada w nadmiarze żywotności oraz zdolności myślenia, lecz dla której on, wedle jakiegoś nieznanego mu prawa, oznacza formalną konieczność. Z powodu tej nieznanej rodziny i tych niewiadomych praw, nie może się wyzwolić.

Dwoje dzieci zamożnie odzianych, sześcioletni chłopiec oraz siedmioletnia dziewczynka, cisnęło się do wystawy Casinelliego; rozmawiały o Bogu i grzechach. Przystanąłem za nimi. Dziewczynka, może katoliczka, jedynie okłamanie Boga uważała za grzech właściwy. Dziecięco uparty chłopiec, chyba protestant, zapytał, czym byłoby okłamanie człowieka lub kradzież. „Także wielkim grzechem — odparła dziewczynka — ale nie największym, tylko grzechy wobec Boga uchodzą za największe, grzech względem człowieka odkupuje spowiedź. Gdy się spowiadam, natychmiast z powrotem przybywa anioł, bo jeśli zgrzeszę, staje za mną diabeł, chociaż go nie widać". I znużona powagą swej wypowiedzi dla żartu obróciła się na pięcie i rzekła: „Widzisz, nikogo za mną nie ma". Również i chłopiec się odwrócił i spostrzegł tam mnie. „Patrz — odrzekł nie zważając na to, żem musiał usłyszeć, lub też o tym nie myśląc — za mną stoi diabeł". „Tego i ja widzę — powiedziała dziewczynka — ale jego nie mam na myśli".

Nie chce żadnej pociechy, ale nie dlatego, iż jej nie pragnie — któż by jej nie pragnął — lecz ponieważ szukać jej znaczy: poświęcić tej pracy swoje życie, wieść je bezustannie na marginesie swej egzystencji, niemal poza nią, nie wiedząc już, dla kogo tej otuchy się szuka, a zatem nawet nie móc znaleźć skutecznej pociechy, skutecznej, przypadkiem nie prawdziwej, gdyż taka nie istnieje.

— Ze swej nędzy czynisz cnotę.

— Po pierwsze robi to każdy, po drugie właśnie ja tego nie robię. Pozostawiam swą nędzę jej samej, nie osuszam bagien, lecz żyję w ich malarycznych oparach.

— Z tego właśnie czynisz swą cnotę.

— Jak każdy, już to powiedziałem. Zresztą robię to tylko dla ciebie. Abyś dla mnie był miły, biorę szkodę na swoje sumienie.

Wszystko mu wolno oprócz jednego: zapomnienia o sobie, czyli w istocie znowu zabrania mu się wszystkiego, nie licząc tego jednego, niezbędnego w danej chwili dla całości.

Przyczyna tego, iż osąd potomnych nad jednostką jest właściwszy, aniżeli osąd współczesnych, leży w stanie martwoty. Człowiek rozwija się w swoim rodzaju dopiero po śmierci, dopiero gdy jest sam. Śmierć dla jednostki to tyle, co wieczór sobotni dla kominiarza: zmywa sadzę z ciała. Wtedy widać, kto komu więcej zaszkodził, czy współcześni jemu, czy on współczesnym; w ostatnim przypadku był wielkim człowiekiem.

Zawsze mamy siłę by zaprzeczać, czyli najnaturalniej manifestować bezustannie zmieniający się, odnawiający, zamierający i znów ożywający, toczący boje organizm ludzki, brak nam jednak odwagi w sytuacji, gdy przecież życie jest zaprzeczeniem, przeto zaprzeczenie potwierdzeniem.

Prąd, przeciw któremu on płynie, jest tak szalony, iż czasem w chwili pewnego roztargnienia, wpada się w rozpacz nad montonnym spokojem, pośród którego się brodzi, albowiem tak nieskończenie daleko zostało się odpędzonym w chwili odmowy.

Ma pragnienie i od źródła dzielą go tylko zarośla. Jest jednak rozdarty na dwie części: jedna z nich ogarnia spojrzeniem całość, widzi, że stoi tutaj, a obok znajduje się źródło; wszelako druga część nic nie dostrzega, najwyżej przeczuwa, iż pierwsza widzi wszystko. Ponieważ jednak nic nie spostrzega, nie może ugasić pragnienia.

Powstanie utrudnia mu pewna ociężałość, chęć zabezpieczenia się na wszelki wypadek, przeczucie łoża, które mu naszykowano i które doń tylko należy; w wylegiwaniu się przeszkadza mu wszakże niepokój, spędzający go z łóżka, utrudnia je sumienie, bez ustanku bijące serce, lęk przed śmiercią i pragnienie odparcia go; wszystko to nie daje mu spokoju — a więc znów się podnosi. To powstawanie i opadanie oraz nieliczne w tej drodze poczynione przypadkowe, pośpieszne, uboczne spostrzeżenia, stanowią jego życie.

Ma dwóch przeciwników: pierwszy napiera nań z tyłu, od początku. Drugi broni mu drogi na wprost. Walczy z obydwoma. Właściwie pierwszy pomaga mu w walce z drugim, ponieważ chce go wypchnąć do przodu; również i drugi wspiera go w walce z pierwszym, gdyż pędzi go przecież z powrotem. Lecz tak jest tylko w teorii. Bowiem są tu przecież nie tylko ci dwaj przeciwnicy, lecz również i on jeszcze, a kto zna właściwie jego zamiary? Bądź co bądź marzy mu się, że kiedyś w chwili słabości — przede wszystkim w nocy, tak mrocznej, jak żadna jeszcze — wyskoczy z linii walki i dzięki swemu zdobytemu w walce doświadczeniu wyniesiony zostanie do godności sędziego nad swymi zmagającymi się z sobą rywalami.

Wojciech Krzywobłocki — litografia

EWA BEATA KARPINOWICZ

ZAPIS Z OBECNOŚCI

dotknąć języka głodu
wyrwać język głodu

odbarwić krew głodu
szarozieloność przemieszać z solą
ćwiartować siekać ziarnko
po ziarnku krwinkę
po krwince
a i to za mało

zatopić krtań
wygasić ołowiem ołów spiłować
potem cóż że paraliż
wyciszyć oczy
aż do krwotoku krwotok przetoczyć
korytem skargi
wszystko za mało

P A M I Ę Ć
powali głód krew ciszę
i s k o w y t
choć głód jest niedosiężny
skowyt —
— niewidoczny
choć p r a w d z i w a krew
zdarza się nieczęsto
w każdym razie nie tak często
żeby

i tylko cisza broni się najdłużej
do dna przypadła
otwarta do krzyku
w starych dekoracjach podwójnej nieobecności
bronić się jest trudniej

i tylko cisza
broni się najdłużej
i tylko cisza cisza
c i s z a na dnie

i tylko cisza
embrion
w brzuchu krzyku

i tylko cisza

cisza ————
———— pornotrwanie

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

★
★ ★

nie nazywajcie myśli ocaleniem
— ona marmurem nie stanie ani nie przebije muru
— ale czy kamień ma być poza trwanie

szukam oddechu
poza swoim milczeniem i wszystkimi stronami świata

nic nie może wyzwolić — mnie ze mnie

bez wymiaru jest wszelki czas
o ile nie obliczony na trwałość tworzywa
albo na przypadek

na absolutną świadomość
uzyskaną poprzez właściwy układ równań

sen o człowieku
jedynym jest tutaj przykładem
wartości poszukiwań

NA WINNEJ I NOWOMIEJSKIEJ

Po zakończeniu działań wojennych zacząłem na nowo pracę w poligrafii, ale w listopadzie 1939 r. zakład został zamknięty przez okupanta, a właściciel zabrał mnie do pracy w garbarni na ulicy Drewnowskiej. W lutym 1940 roku Niemcy kazali mi wracać do pracy w chemigrafii. Nowy właściciel zakładu poligraficznego odszukał wszystkich byłych pracowników i powołał ich na opuszczone stanowiska. W kilka dni po rozpoczęciu pracy przyszedł do mnie kolega szkolny, **Mieczysław Piekarski, ps. Wrona,** proponując podrobienie podpisu dowódcy SS do spraw więziennictwa w Łodzi. Miałem wtedy 20 lat i serce przepełnione nienawiścią do Niemców. Zapytałem Wronę do jakich celów potrzebny jest ten „faksymil". Wrona znał mnie dobrze i dlatego odpowiedział bez żadnych wstępów, że dla tajnej organizacji.

Na umówiony czas przyszedł Wrona, oddałem mu stempel i zaznaczyłem, że jak będzie miał jeszcze coś do roboty — to może do mnie przynieść. Wrona dziwnie się uśmiechnął i powiedział: nie martw się — nudzić się nie będziemy. Po wyjściu z pracy Wrona czekał na mnie, ale nie sam. Chciałem ich minąć, lecz oni podeszli do mnie i Wrona przedstawił mnie porucznikowi **Franciszkowi Jablonce, ps. Michał.** Po krótkim zapoznaniu por. Michał powiedział, że stempel został przyjęty jako dobry i zapytał czy chciałbym wstąpić do tajnej organizacji.

Ze względu na moje kwalifikacje zawodowe, które kierownictwo podziemia wysoko oceniło, zostałem przydzielony do szefa łączności — por. Michała. Był to oficer zawodowy, inwalida z kampanii wrześniowej, ranny w prawą rękę, fanatyczny patriota, doskonały psycholog. Swą delikatnością a zarazem stanowczością doprowadził do tego, że komórka legalizacyjna rozrosła się i okrzepła.

Praca naszej komórki stała się niezastąpiona z uwagi na bezpieczeństwo członków konspiracji i nie tylko — bo w lewe dokumenty zaopatrywani byli również ci wszyscy Polacy, którzy ze względów patriotycznych nie chcieli się ujawnić. W pierwszym rzędzie podrabiałem dokumenty, wydawane przez policję niemiecką, bez których nie było możliwości poruszania się po mieście. Podrabiałem również dokumenty wydawane wyłącznie przez gestapo — np. folkslisty II kategorii dla Białorusinów, z podpisem ich przywódcy, który miał siedzibę w Berlinie — atamana Skoropackiego. Oryginał ten dostarczył por. Michałowi — **Sudra Mieczysław, pos. Dominik.** Dominik zdobył tę folkslistę podczas akcji na kolejarzy ukraińskich na trasie Łowicz—Skierniewice. Po podrobieniu i wydrukowaniu folkslist zostali zaopatrzeni w nie członkowie podziemia, którzy w zadaniach swoich musieli korzystać ze środków lokomocji.

To wszystko robiłem w zakładzie z dużym ryzykiem, bo Niemiec siedział w swoim kantorku i w każdej chwili mógł wejść. Kiedyś dostałem od por. Michała odbitki stempla pośrednictwa pracy z rozkazem zrobienia dwóch sztuk. Po sfotografowaniu i zrobieniu żądanej ilości stempli, negatywu nie zniszczyłem i Zam, przypadkowo — a tak się nazywał ten Niemiec, u którego pracowałem — znalazł ten negatyw. Na drugi dzień rano, gdy tylko wszedłem do pracowni, wziął mnie w obroty. Pytał, dlaczego i po co fotografowałem ten stempel? Czy zdaję sobie sprawę, co byłoby, gdyby gestapo dowiedziało się? Ze skruszoną miną słuchałem gróźb i myślałem, jaką by wymyślić bajkę, żeby Niemiec dał mi spokój. Świadkiem tego zajścia był fotograf, **Galemba Marian** — który żyje i mieszka w Łodzi Nagle wpadła mi do głowy zbawienna myśl. Pracował wtedy ze mną mój brat. Niemiec zwlekał z rejestracją go w pośrednictwie pracy. Powiedziałem więc, że Stasiek nie jest rejestrowany i chciałem dla niego zrobić zaświadczenie z pieczątką, że pracuje. Niemiec uwierzył.

Po tym wypadku zawieszono moją działalność. Dowództwo nakazało zorganizowanie pracowni na odrębnym terenie. Ulokowaliśmy ją na Widzewie, na ulicy **Winnej nr 1,** dom ten obecnie nie istnieje. Był to rozwalający się drewniak, z bardzo niskim parterem, a policja niemiecka miała zwyczaj chodzenia po podwórkach i zaglądania do okien. Wieczorami i nocą sprawdzali, czy okna są dobrze zamknięte, a przede wszystkim podsłuchiwali, co dzieje się w pomieszczeniu. Z tego powodu mogłem pracować jedynie późnym wieczorem i nocą. W czasie mojej pracy ojciec i matka siedzieli przy oknie i pilnowali, czy policja nie węszy.

Rodzice moi nie wytrzymywali nerwowo. Porucznik Michał dowiedział się o tym i postanowił przenieść pracownię na ulicę **Nowomiejską 5,** lewa oficyna — dom ten stoi do dziś. W domu tym miałem do dyspozycji mały pokoik, w którym ponownie uruchomiłem chemigrafię.

Władze niemieckie zaostrzyły terror i nasz fotograf odmówił dalszej pracy. Cios był duży. Organizacja nie mogła czekać. Każdy stempel czy podrobiony faksymil ratował wiele istnień ludzkich. Zawieszenie czy likwidacja komórki — było to niemożliwe. Prośby i groźby nie pomogły. Marian Galemba tłumaczył się, że ma dzieci i chce żyć. Nie był on związany przysięgą i trudno go było zmusić do pracy. Por. Michał nawiązał kontakt z fotografem, który pracował przy ul. 11 Listopada, u Niemca. Fotograf ten nazywał się **Zbigniew Kamiński** — żyje i mieszka w Łodzi. Był to portrecista, a mnie potrzebne były zdjęcia kreskowe, jednotonowe. Prób robiliśmy bardzo dużo. Trwało to bardzo długo. Któregoś dnia Zbyszek oznajmił mi, że właściciel idzie na front. Zakład został zamknięty. Postanowiłem włamać się do niego, żeby zabrać obiektyw, bo kamerę miałem. Pierwszą i najłatwiejszą rzeczą było zrobienie odcisku zamka i kłódki. Po otrzymaniu dorobionych kluczy pojechałem na ulicę 11 Listopada, wszedłem do bramy. Była pusta, nikt się tam nie kręcił. Otworzyłem kłódkę, puściła bez oporu, zamek otworzyłem bez wysiłku, a po wejściu do środka pierwsze kroki skierowałem do aparatu. Podniosłem pokrowiec i zamiast obiektywu zobaczyłem czarny otwór. Ogarnęła mnie rozpacz. Poszedłem do ciemni i tam przy powiększalniku też obiektywu nie było.

Gestapo zaciskało coraz bardziej pierścień wokół nas. W kwietniu 1942 roku aresztowali **Aftowiczów.** Był tam punkt kontaktowy. Dostałem rozkaz ponownego zawieszenia wszelkiej działalności. Po kilkunastu dniach od chwili aresztowania Aftowiczów, wybrałem się na Widzew, zobaczyć, co słychać w domu. Patrzę i oczom nie wierzę. **Władek Aftowicz** siedzi na ławce. Usiadłem na drugim końcu ławki i nie poruszając ustami pytam:

— Co jest, jak z resztą?

— Odejdź, jestem obserwowany.

Nie zważając na ostrzeżenie, pytałem, czy go bili. Nie odpowiedział. Wyglądał jak trup. Poszedłem dalej.

W sierpniu 1942 roku dostałem do skopiowania pięć stempli. Zabrałem się do roboty, gdy usłyszałem warkot samochodów. Uniosłem ostrożnie czarny papier zasłaniający okno i zobaczyłem trzech esesmanów i dwóch Żydów. Zabrałem się z powrotem do roboty, a tu słyszę walenie do drzwi mieszkania, w którym miałem pracownię. Pani Leszczyńska otworzyła drzwi i usłyszałem, jak ktoś mówi łamaną polszczyzną, ażeby dała klucz od piwnicy. Przerwałem pracę, cjanek wziąłem do ręki i czekałem. Po godzinie przyszła pani Leszczyńska i jednocześnie usłyszałem warkot odjeżdżającego samochodu.

Co się okazało? Starszy Żyd zakopał w piwnicy pudełko pełne biżuterii. Młody, żeby żyć, sypnął starego.

Po tym wydarzeniu znów kazano mi przerwać pracę.

KAZIMIERZ MAŁKIEWICZ

„CHODZIĆ SKRAJEM TROTUARU..."

W atmosferze strachu żyje dziś większość Amerykanów, a jego symptomy zna nieomal każdy mieszkaniec USA: kilka zamków w drzwiach mieszkania, alarmowe dzwonki, zanik życia towarzyskiego, lęk przed wychodzeniem z domu po zachodzie słońca, uzbrojony wartownik u wrót szkoły, nieustanne uczucie zagrożenia itd. itd. Przestępczość paraliżuje życie codzienne w Stanach Zjednoczonych.

Sam strach — twierdzą niektórzy amerykańscy specjaliści — stwarza warunki dla szerzenia się przestępczości: wyludniowe ulice, atmosfera podejrzliwości, brak zaufania do policji. Większość Amerykanów jest opanowana manią prześladowcza i obawia się o swoje życie. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Fala przestępczości, której poziom jest najwyższy w murzyńskim getcie, już od dawna ogarnęła także rejony, zamieszkane przez „klasy średnie", a nawet zamożne, ekskluzywne dzielnice podmiejskie, gdzie nieraz zbrodnia idzie w parze z narkomanią.

Nikt w Stanach nie czuje się całkiem bezpiecznie. Wśród niedawnych ofiar ulicznej grabieży znajduje się senator William Proksmayer, obrabowany w Waszyngtonie, i biskup Paul Moor, ograbiony w Central Park w Nowym Jorku, i zastępca ministra sprawiedliwości Ervin Greeswold, którego ograbiono z pieniędzy nieomal na terenie University Harvard w Cambridge... Napięcie potęgują jeszcze stosunki rasowe. Władze policyjne, uczulone na nastroje wyborców, przygotowują się już do przeprowadzenia wyborów merów w Nowym Jorku, Los Angeles i innych miastach pod hasłem: „Prawa i porządku".

Ale na razie nic się nie zmienia na lepsze, mimo rozkręconej w ostatnim czasie, szeroko i nader kosztownej, akcji walki z przestępczością uliczną. Policja wsparta 850 milionami dolarów, które asygnował rząd na ten cel, wzięła szeroki rozmach, włączając do akcji śmigłowce, komputery, urządzenia elektroniczne, radio itp.

Lęk biznesmenów i właścicieli domów o własne mienie, niezadowolonych z działalności władz porządkowych, spowodował niebywałą koniunkturę w produkcji niezliczonych rodzajów systemów alarmowych, które swą różnorodnością przechodzą wszelkie ludzkie pojęcie. Powstały całe nowe gałęzie tego przemysłu. Szybko rośnie armia prywatnych strażników. Mieszkańcy domów, podobnie jak przesiedleńcy, wybierający się niegdyś na Daleki Zachód, organizują samoobronę, patrolują domy, mieszkania i rejony, w których mieszkają.

A mimo wszystko wyniki są nadal mierne. Wprawdzie władze policyjne, pragnąc wykazać się efektywnym działaniem, zwracają uwagę na spadek przestępczości w ostatnim okresie czasu. Jednakże liczby daleko odbiegają od rzeczywistości. Ilość przestępstw ulicznych z użyciem siły rośnie nadal w tak oddalonych od siebie miastach amerykańskich jak Nowy Jork, Boston, Memphis, Denver. Liczby nie oddają także przerażającego wzrostu przestępczości w peryferyjnych dzielnicach miast.

Obraz życia Amerykanów wśród rozpasanej przestępczości jest ponurym przykładem przystosowania się człowieka do najbardziej odrażających warunków bytu. Znany nowojorski komentator telewizyjny, opuszczając studio po odczytaniu ostatnich informacji wieczornych, trzyma w rękawie policyjną pałkę. W Atlancie poważny komiwojażer woli w niedzielę pójść trzy razy do banku, niż mieć w kieszeni piętnaście dolarów. Równie ostrożni są jego sąsiedzi.

Przechodnie na ulicach miast muszą stale pamiętać o specjalnej „taktyce" poruszania się po mieście: chodzić skrajem trotuaru, trzymać się z daleka od bram i drzwi frontowych domów, mieć przy sobie drugi portfel z niewielką sumą pieniędzy, specjalnie przygotowany dla bandytów. Klucz od mieszkania trzeba trzymać w pogotowiu na długo przed zbliżeniem się do drzwi wejściowych, ponieważ do domu należy wchodzić szybko. Kobiety, starając się uchronić od rabusiów, wydzierających torebki, albo w ogóle ich nie noszą, albo trzymają je w taki sposób, by przy pierwszej próbie wyrwania cała zawartość torebki wysypała się na ziemię.

Wiele ofiar napadów rabunkowych żałuje, że w chwili grabieży nie miało pistoletu. Niektórzy noszą je przy sobie, lekceważąc ostrzeżenia, że posiadanie broni palnej stanowi większe niebezpieczeństwo, niż zwykłe środki obrony. Któregoś wieczoru 26-letni agent ubezpieczeniowy, Charles Wocker, rozstał się na ulicy ze 120 dolarami, które musiał oddać pod groźbą pistoletu.

„Teraz — opowiada — postanowiłem nosić przy sobie rewolwer. Tak robi wielu moich kolegów. W jakiś czas po napadzie wszedłem do pewnego domu zainkasować składkę ubezpieczeniową. Będąc już na piętrze usłyszałem, że ktoś za mną wbiega po schodach. Obejrzałem się szybko i ujrzałem młodego człowieka. Nie wiedziałem wtedy, że był to syn kobiety, do której właśnie szedłem. Gdybym miał rewolwer, strzeliłbym na pewno. To by dopiero była heca, gdybym ja, agent ubezpieczeniowy, zastrzelił lub ranił faceta, którego ubezpieczałem. Postanowiłem jednak broni nie nosić".

Na zachodnim wybrzeżu USA atmosfera jest mniej napięta. W San Francisco, na przykład, ludzie wciąż jeszcze mogą korzystać z przyjemności spacerów po ulicach miasta. Jednakże podczas jednej z rozpraw sądowych w Santa Monica prokurator był wstrząśnięty, kiedy na pytanie, który z dwunastu przysięgłych był kiedykolwiek ofiarą napadu, ośmiu podniosło ręce...

Szczególnie przeraża Amerykanów, zarówno białych, jak i czarnych, wzrost liczby przestępstw z użyciem siły w szkołach. Nie jest to problem nowy, ale ostatnio przybrał zastraszające rozmiary. To samo dotyczy uniwersytetów. W miasteczku studenckim uniwersytetu harvardzkiego postawiono przy drzwiach wejściowych uzbrojonych strażników.

Obawa o własne bezpieczeństwo spowodowała nieprawdopodobny rozkwit „przemysłu obronnego". Liczba funkcjonariuszy ochrony prywatnej i „specjalnej policji" w San Francisco i Detroit przewyższa już siły policyjne. Urządzenia zabezpieczające mieszkania i domy kosztują od 300 dolarów do kilku tysięcy. Waszyngtońska firma „Rollins Protective", która ma już sześnaście oddziałów w całym kraju, w tym roku otwiera dalszych piećdziesiąt. Jednym z najdroższych urządzeń jest system sygnalizacyjny, składający się z miniaturowych aparatów nadawczych, które — instaluje się we wszystkich oknach i drzwiach domów. Wystarczy zbliżyć się do drzwi lub okna, a przekaźnik zaczyna nadawać sygnały, które uruchamiają syreny alarmowe, zapalają reflektory w ogrodach i automatycznie powiadamiają najbliższy oddział firmy, która wzywa policję.

Któregoś dnia może się zdarzyć, że Amerykanie przebudzą się w więzieniu, które sami stworzyli.

Oprac. J. CZECH

PKS-em w Polskę...

Dalszy ciąg ze str. 5

deru, ale oszczędzę mu tego, Bo oto minął jakiś czas i z Kazimierza Dolnego wracam do Łodzi.

Jak zupełnie naiwne dziecko kupuję w kasie PKS w Kazimierzu bilet i tłoczę się do wozu. Połowa współtowarzyszy ładuje się tam bez biletów. Przed kasą nie ma kolejki.

Za piętnaście minut jestem w Puławach. Mam wyjście — zrezygnować z usług PKS i jechać pociągiem, aby dobrnąć do Łodzi około pierwszej w nocy. Na Chojny. Jadę więc na dworzec PKP. Myślę sobie — naiwny jak dziecko — zostawię bagaż, zjem obiad i poczekam.

Na stacji kolejowej w Puławach też jest fajnie. Wisi tabliczka: **„Stacja bierze udział w konkursie „Lato pasażerskie".** I druga tej samej treści, ale w kolorze czerwonym. Dalej wielki napis: **„Czystość i porządek to dowód kultury pasażerów"...** Coraz lepiej. W razie czego — pasażerowie winni. Następna wywieszka: **„Książka skarg i zażaleń znajduje się".** I kropka. Nie wiadomo, gdzie się znajduje. Tajemnica państwowa.

A dalej wszystko normalne. Tablice rozkładów podarte i brudne — wywieszone byle jak, bez stosowanych gdzie indziej osłon. Przechowalnia bagażu nieczynna. W bufecie sucha bułka sprzed trzech dni i kotlet pożarski z dorsza oraz... trzy małe stoliczki. Piję herbatę na stojąco z walizką między nogami.

Schodzę do poczekalni, wyciągam notes i zaczynam spisywać interesujące hasełka. Na zapleczu jakieś szmery, ktoś się poruszył — za chwilę staje obok niezupełnie cywilny osobnik:

— Co pan robi? — pyta.

— Piszę — odpowiadam.

— Ale, po co?

— Bo mi potrzebne.

— Ale na co? — facet się irytuje.

— Co „na co"? — udaję wariata.

— Na co pan to pisze — nie daje za wygraną facet.

— Chcę to spopularyzować.

Ciekawego trochę zatyka, ale jeszcze indaguje: **„To znaczy?"**

— Chcę o tym napisać, jestem dziennikarzem.

Facet zmywa się błyskawicznie.

Ja zresztą też. Spróbuję jednak szczęścia w PKS, nie nęci mnie parogodzinne czekanie na pociąg w tym lokalu, biorącym udział w konkursie „Lato pasażerskie".

Na puławskim dworcu PKS — oczywiście przechowalnia bagażu nieczynna. Idę do informacji.

— W której kasie mogę kupić bilet na pośpieszny do Łodzi?

— W żadnej. To jest autobus przelotowy — z Lublina. Będą miejsca, to się pan zabierze.

— Ale przecież ten autobus już z Lublina wyjechał. Wystarczyłby telefon, że są wolne miejsca, i ile osób kupiło bilety do Puław, więc tu wysiądą...

— Panie, co pan...

No, pewno — taki kłopot. I to dla tej hołoty, co się tłoczy na dworcu zamiast w domu siedzieć. A przecież wiadomo, że w wypadku autobusów pośpiesznych wypisuje się ilość sprzedanych biletów na specjalnych formularzach w kasie. To naprawdę żadna filozofia ułatwić życie tym czekającym na deszczu ludziom.

Więc czekamy. Deszczyk pada, wietrzyk wieje.

Wreszcie autobus przyjeżdża. Wysiada prawie połowa — masa wolnych miejsc. Kupujemy bilety u kierowcy — siadamy. Zimno.

— Proszę pana — pyta ktoś nieśmiało — **czy nie można włączyć ogrzewania?**

— Nie można, bo zepsute.

— To trzeba było nie brać niesprawnego wozu — rzuca jakiś zirytowany.

— Trzeba było, to byś pan dziś w ogóle nie pojechał — odpowiada kierowca.

I tu się z nim zgadzam. To jedyne połączenie z Łodzią. Potem zresztą okazuje się, że dach przecieka, a po nogach wiatr wieje. Ale do Łodzi dojechaliśmy punktualnie — za piętnaście dziesiąta. Dwieście kilometrów pośpiesznej podróży w blisko pięć godzin.

Tylko podróż PKS da ci maksimum zadowolenia! Szereg niezapomnianych wrażeń! Ciekawe dialogi! Moc niespodzianek!

PODRÓŻUJ TYLKO PKS!

JERZY WILMAŃSKI

FILM

W PRZERWIE

Tegoroczne premiery polskich filmów złożyły się na swoistą czarną serię, której wyróżnikami są wszystkie grzechy główne a pospolite naszego kina. Większość z nich już na etapie scenariusza winna skończyć swe istnienie. Tak jednak się nie stało i wobec tego raczono nas intelektualną miałkością, psychologicznym banałem, obyczajową nieprawdą, pseudoartystyczną pretensjonalnością i nad wyraz nieudolnym warsztatem.

Co dalej? Zapowiadane premiery: **„Na wylot" Grzegorza Królikiewicza, „Palec boży" Antoniego Krauzego** i **„Iluminacja" Krzysztofa Zanussiego** wyprowadzą nas zapewne ze stanu frustracji absolutnej.

A na razie? Stanisław Bareja w towarzystwie samego **Jacka Fedorowicza**, współautora scenariusza, zaprasza na kolejną swą komedię **„POSZUKIWANY — POSZUKIWANA"** i proponuje śmiech zaplanowany w miejsce nie zaplanowanego, który był udziałem pierwszych premier tego roku. Bareja jest człowiekiem upartym. **„Męża swojej żony"** przyjęto uprzejmie, **„Żonę dla Australijczyka"** — gorzej, przy **„Małżeństwie z rozsądku"** kręcono już mocno nosem, a za **„Przygodę z piosenką"** oberwał porządnie. Nic to! — rzekł reżyser i do komedii znów powrócił.

Pomysł leżał na ulicy, ale jak wiadomo, do zasług należy umiejętność jego znalezienia. A więc, o jakiego pracownika w Polsce najtrudniej? — wiadomo, o pomoc domową. O jakiego pracownika w stolicy najlatwiej? — o dobrego aktora. Tak więc pomoc domowa plus **Wojciech Pokora** — pomysł został znaleziony. A kogóż nie śmieszy mężczyzna w damskich szatach i w kobiecych funkcjach — recepta na powszechną wesołość gotowa.

Przeżywamy zatem z nieszczęsnym magistrem historii sztuki zatrudnionym najpierw z konieczności, a potem z wyboru w charakterze pomocy domowej, wszystkie jego z chlebodawcami przygody. Nanizują ten sznureczek przygód autorowie, wymyślają nawet niezle, od czasu do czasu, gagowe sytuacje, błyszczy dowcipem, również od czasu do czasu, dialog, w którym pióro Fedorowicza odnajdujemy.

A że epizod epizodowi nierówny, że z pointami nie za dobrze, że rozłazi się to wszystko, a dowcip sytuacyjny oryginalnością nie grzeszy i niespodzianek, jak na komedię za mało, przecież, jak powiedzieliśmy, są jeszcze aktorzy, oni złu zaradzą. I radzili jak mogli — i Rylska, i Golas, i Czechowicz, i Pluciński, a ilu w rolach pomniejszych. Rodzynek **Stanisław Bareja** zostawił na koniec, zna prawa popytu i podaży. W ostatnim epizodzie spotykają się zatem starzy, z telewizyjnego „Expressu" znajomi — sam **Jerzy Dobrowolski z Wojciechem Pokorą**. No i stało się, za ten, tym razem i scenariuszowy i aktorski popis, można darować i resztę. Uparty człowiek ten Stanisław Bareja. Tym razem wypełnił nam przerwę, oby akt drugi stanowiły premiery nowej, już nie „czarnej serii".

Jeśli chcecie, zobaczcie...

„ŻYĆ DZIŚ, UMRZEĆ JUTRO" Kaneto Shindo — to spotkanie z kinem japońskim, przypominające czasy naszej największej ekscytacji tą kinematografią, to spotkanie z autorem arcydzieła, jakim była „Naga wyspa". Akcja filmu toczy się w Japonii współczesnej, w kraju gospodarczego boomu i nieprawdopodobnego wprost rozwoju techniki. Dzieje młodocianego przestępcy ujawniają społeczno-obyczajowe kulisy tamtych przeobrażeń. Patologicznie amoralny, pozbawiony zdolności uczuć i przeżyć bohater filmu niesie pytania, które reżyser stawia przed współczesną cywilizacją, pytania te dotyczą, w końcu losu przyszłych pokoleń. Ten znakomity, wstrząsający film można oglądać wyłącznie w kinach studyjnych.

„MORZE W OGNIU", „CZŁOWIEK STAMTĄD" i „POZWÓLCIE STARTOWAĆ" — to trzy filmy radzieckie, prezentowane w kinie „Wisła" w związku z obchodami 28 rocznicy podpisania układu o wzajemnej pomocy i współpracy między Polską i Związkiem Radzieckim.

„Morze w ogniu" Leona Saakowa, jest fabularną rekonstrukcją heroicznej obrony Sewastopola w czasie II wojny światowej. Walki o Sewastopol miały ogromne znaczenie strategiczne, przez 250 dni wiązały siły wojsk hitlerowskich, a w lipcu 1942 roku bohaterskie miasto musiało się poddać. Dwa lata było w rękach niemieckich.

„Człowiek stamtąd" — film Jurija Jegorowa, zrealizowano we współprodukcji ze Szwecją; przypomina on autentyczne wydarzenia. W pierwszych latach państwa radzieckiego, do Szwecji, na polecenie Lenina, przybywa radziecki dyplomata z misją zakupu tysiąca lokomotyw. Przeszkody się piętrzą. Film zrealizowano według reguł gatunku przygodowego i wprowadzono liryczny wątek miłosny. Piękną Szwedkę — miłość głównego bohatera — gra urocza Bibi Andersson.

„Pozwólcie startować" — reżysera Anatolija Wiechotko, ukazuje obraz codziennego życia i pracy załogi polowego lotniska, jej problemy, a także kompleksy związane ze świadomością działania na uboczu „wielkiego lotnictwa".

„KOT" Pierre'a Granier-Deferre — film zrealizowany według powieści Georgesa Simenona. Bohaterowie filmu — to starsze małżeństwo zamieszkujące na przedmieściu Paryża — grają zaś wspaniali: Simone Signoret i Jean Gabin. Ich kreacje decydują głównie o walorach tej psychologicznej opowieści. Dramat nienawiści i starości jest w tym filmie jednocześnie dramatem miłości, którą niszczyły gromadzone przez lata, zupełnie absurdalne nieporozumienia. Tragedia banalna i tragedia prawdziwa, wzbogacona w swych treściach wspaniałym aktorstwem wielkich znakomitości francuskiego kina.

EWA NURCZYŃSKA

TV

Święta, święta

W programie świątecznym przypomniano wiele pozycji sprzed lat, które oglądane po raz drugi czy nawet trzeci, nadal wzbudzają zainteresowanie. Choćby ze względów na doskonałych aktorów, jak było w Królowej Krystynie" z Gretą Garbo, w „Rzymskich wakacjach" z Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem, czy w „Rzece bez powrotu" z Marylin Monroe. Same filmy pod względem treściowym można ocenić różnie, np. „Rzymskie wakacje" to sentymentalny kicz, ale właśnie owi aktorzy i świetna reżyseria Williama Wylera („Oskar" — 1953) z powodzeniem równoważą tę podstawową słabość filmu. Na pewno też nie warto byłoby oglądać „Taksówkarza i gangsterów", gdyby w roli paryskiego taksówkarza na wakacjach w Hiszpanii nie wystąpił Louis de Funes.

Program świąteczny upłynął również pod znakiem teatru. Obejrzeliśmy pozycje bardzo różne, jak „Ta trzecia" Henryka Sienkiewicza, „Szelmostwa Skapena" Moliera w programie Teatru Młodego Widza i w teatrze poniedziałkowym „Męża i żonę" Aleksandra Fredry. Estrada Poetycka zaproponowała nam „Pieśni" K. I. Gałczyńskiego. Piękne wiersze mistrza Ildefonsa, proste a jednocześnie głęboko refleksyjne liryki recytowali znakomici aktorzy — Elżbieta Barszczewska i Henryk Borowski.

Komedia obyczajowa Fredry przede wszystkim nas bawi, jak w swoim czasie głównie wywoływała zgorszenie. Fredro poszedł dalej od pierwowzoru, czyli od wywodzącego się z francuskich komedii trójkąta małżeńskiego. Jest on, ona i ten trzeci — a na dodatek ta czwarta — urodziwa i sprytna pokojówka Justysia, której rolę bardzo dobrze odtworzyła Jolanta Bohdal. Autor zadziwia nas pomysłowością intrygi, doskonałą obserwacją psychologiczną, pięknym językiem. Reżyser Bohdan Korzeniewski, specjalista od Fredry, nie nie uronił z atmosfery tamtych lat i poetycko-ironicznej aury. Na tle tak dobrych aktorów jak Zbigniew Zapasiewicz i Zdzisław Wardejn, nieco słabiej wypadła Marta Lipińska w roli żony, ale była to rola najmniej wdzięczna.

Pozycje teatralne uzupełniały niejako programy muzyczne i baletowe. Trudniejsze w odbiorze i zapewne nie tak masowo oglądane, ale przedniej marki. Choćby z cyklu „arcydzieła muzyki operowej" filmowe widowisko operowe Albana Berga „Wozzeck" w wykonaniu Opery Hamburskiej, czy film baletowy w reżyserii Grzegorza Lasoty „Gry", którego walory w pełni można jednak docenić oglądając ten film w kolorze. TV zainaugurowała w święta nowy cykl widowisk Telewizyjnego Teatru Muzyki poświęcony muzyce dawnych mistrzów pn. „Bachalie". W tym cyklu zobaczymy i usłyszymy utwory w wersji klasycznej i uwspółcześnionej, co jest ciekawym eksperymentem nie tylko formalnym i może znacznie poszerzyć krąg odbiorców tego teatru.

W powodzi świątecznych propozycji chciałbym zwrócić uwagę na pozycję niezbyt efektowną, nowy program **„Przyjąć czy odrzucić?"** Pokazano w nim telewizję trochę od kuchni, moment zatwierdzania filmu Mariusza Waltera „Potomkowie Sebastiana Grzyba". Ciekawą dyskusję, która miała odpowiedzieć na tytułowe pytanie prowadził Jerzy Ambroziewicz. Zebrani przed kamerami specjaliści różnych dziedzin nie zajęli słusznie ostatecznego stanowiska, czy film Waltera o zjeździe rodu Grzybów jest taki czy inny — odwołując się do opinii telewidzów. A niezależnie od opinii dyskutantów, które chwilami drażniły jednostronnością (tak to zwykle bywa ze specjalistami), mogliśmy obejrzeć kawałek autentycznego życia, film pokazujący z sympatią prostych ludzi, dumnych ze swego chłopskiego rodowodu.

Szczęśliwie też, bo remisem zakończył się telewizyjny pojedynek Rossa i Zemantowskiego. Niezła to w sumie była zabawa i sam pomysł warto kontynuować, ale chciałoby się widzieć w szrankach ludzi o większych indywidualnościach, a już na pewno nie taką jurorkę jak Barbara Wachowicz, która w irytujący sposób krygowała się przed publicznością i popisywała jak na imieninach u cioci.

JAROSŁAW TARNO

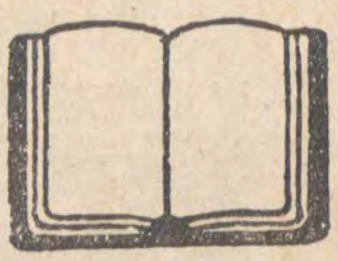

KSIĄŻKA

PYTANIE O WARTOŚĆ SŁOWA

Wiemy, że nic nie wiemy. Wiemy, że słowo, sztuką jest tylko, niedoskonałym narzędziem objaśniania istoty, sensu ludzkiego życia. I wiemy, że za pomocą słowa nie da się tego dokonać do końca, ani wyczerpująco. Możemy czynić tylko próby, dochodzące do prawd cząstkowych, przedzierać się przez ciemność, aby ją fragmentarycznie rozjaśniać. Możemy dojść do konkluzji, jak Wanda Karczewska, że wobec zagadki życia najlepszym wyjściem, najgodniejszym świadomego artysty — byłoby milczenie.

Czy to oznacza, że książka „Głębokie Źródła" jest dziełem desperacji, aktem pisarskiego samobójstwa, zamknięciem literackiej biografii, fiaskiem sztuki, czy przekonania, że z łaski talentu możemy pomóc sobie i drugim na drodze do samopoznania, do odpowiedzi na pytania bez odpowiedzi? A jednak? Jest ta książka krzykiem człowieka. Krzyk bólu — to życie. To wbrew bezradności — próba zmierzenia się z życiem, ciągle, zawsze i nadal, to nieustający wysiłek właśnie artysty, aby wbrew swej niewiedzy wycisnąć ze słowa kształt, jakkolwiek niedoskonały, choćby daleki od myśli — przeczucia — pierwowzoru, mimo to przybliżający zawsze nieosiągalny cel — całkowite objaśnienie sensu naszego istnienia.

I chyba Wanda Karczewska doszła na drodze negacji samej możliwości takiego poznania — do potwierdzenia konieczności podobnych wysiłków.

Pomijając czysto fabularne wątki książki, sagę rodu w nią wpisaną, warto zatrzymać się przede wszystkim przy okruchach myśli pisarki, rozrzuconych w tekście. Tak, jak zamysł negacji artystycznego, pisarskiego poznania, który dla czytelnika — zastrzegam, wyrobionego — stanowi największe, ludzkie „katharsis", tak te właśnie szczodrze rozsypane, odautorskie myśli, decydują o wartościach lektury.

W nich to Wanda Karczewska wraca do „głębokiego źródła", do prawd najpierwszych, czystych, elementarnych, o jakich człowiek współczesnej cywilizacji nie pamięta, zbyt łatwo o nich zapomina w zgiełku naszego świata.

„...nie istnieje żadna inna wartość, jak dobrze przeżyte życie ludzkie, którego nie zżera egoizm, egotyzm, ambicja i próżność wytrawiająca człowieka na popiół. ... Pustką musi się kończyć życie, w którym nie ma miłości otwierającej nas dla ludzi, dla świata."

„Słowa nie są mi już potrzebne: one są bezużyteczne, żadnej sprawy istotnej dla egzystencji ludzkiej nie roztrzyga się słowami. To tam, składanie słów, robienie literatury wcale nie jest czymś nadrzędnym, czemu warto podporządkować i ofiarować życie; trzeba zrobić coś więcej, niż pozbierać swoje roztrzaskane skorupy i „ocalać siebie w słowie", niż „utrwalać swoje imię", „przedłużać swoje istnienie", niż „słowami nadawać sens swojemu życiu"...

Takie słowa wypowiada tylko człowiek dojrzały i artysta nadto świadomy. Takie słowa są potrzebne zawsze i wszędzie, mniej dojrzałym i jeszcze nieświadomym, aby się zamyślili bodaj na moment, aby kiedyś, w przyszłości nie musieli powiedzieć sobie w chwili ostatecznej „za późno", jak to uczyniła Małgorzata, jedna z głównych postaci powieści. Abyśmy nie musieli być wobec siebie nad miarę okrutni, bo w każdym „za późno" kryje się nie tylko akt samooskarżenia, ale indywidualna, ludzka klęska. Siłą literatury jest również ostrzeżenie, nieważne jaką drogą osiągnięte, przez morał, czy przez ukazanie mechanizmów wewnętrznej katastrofy człowieka. „Głębokie Źródła" są studium katastrofy wewnętrznej bohaterów powieści. Oni — nie wychodzą z niej ocaleni. Ocaleni mogą być i będą ci, którzy zechcą wyciągnąć wnioski z lektury. Pisarz nie może żądać od swej sztuki, od swego talentu i rzemiosła — więcej. Nawet wówczas, gdy zna, rozumie i przeprowadza w książce także samoanalizę, dociera do źródeł własnego ograniczenia. Ten wątek książki zasługuje na szczególne wyróżnienie. Stanowi bowiem powieść w powieści, wcale nie zakłócając jej toku, ani nie gmatwając innych wątków. Aczkolwiek ta powieść ma fabułę, zapis ludzkich losów, zamyka się ją z przeświadczeniem, że przeczytało się książkę bez fabuły, po prostu ciąg wielu przemyśleń, może nawet życia, powiązanych ze sobą w jednolitą konstrukcję — odbicie indywidualnego, ludzkiego wnętrza. Niech będzie — artysty, pisarza.

Wanda Karczewska panuje nad materiałem literackim swej książki, w czym nie małą rolę gra dojrzały warsztat pisarski, środki wyrazu, którymi się posługuje, własny, odrębny styl zapisu. Niedokończone zdania — myśli narratorów, przerywane opisem ich stanów, następnie od razu podejmowane od urwanego słowa — zdawałoby się — powinny gmatwać i utrudniać lekturę. Przeciwnie — ułatwiają i czynią tekst klarowniejszym, akcentując mocniej sens tych wypowiedzi, o które pisarce chodziło. Tekst pisany atakuje nas wtedy mocniej, jakby był głośno wypowiadany.

Trudność sprawiłoby recenzentowi umieszczenie tej książki w jednym z uznanych nurtów literackich XX wieku. Jest to bowiem powieść o egzystencji człowieka, o jej tragizmie, o życiu i śmierci, o nierozerwalnym związku żywych i zmarłych, albowiem istota ludzka na swoje szczęście, czy nieszczęście została obdarzona pamięcią i świadomością. Jest to również powieść o przechodzeniu, przenikaniu istnienia w nieistnienie, potraktowane jako logiczna, konsekwentna jedność bytu.

Całe jednak i to pokaźne, zasadnicze dla fabuły partie książki są pisane w konwencji realistycznej i dotyczy to przede wszystkim historii rodowych. Wiele też odautorskich myśli zdradza realistyczny, materialistyczny sposób rozumowania. Filozof miałby kłopot z tą książką. Do szufladek się nie nadaje. Odzwierciedla po prostu wewnętrzne pęknięcie, szamotanie się, spór — przyjmijmy te umowne pojęcia — pierwiastka duchowego i rozumowego, tkwiącego w człowieku. Spór współczesnego świata, który istnieje, toczy się nadal i który literatura — zwierciadło człowieka — rejestruje i bada. Tak trzeba tę książkę czytać, pojmować i rozumieć. Chociażby dlatego, że autorka nie udziela nam jednoznacznej odpowiedzi na płaszczyźnie filozoficznej. Nasz przejściowy, hybrydyczny świat końca XX wieku jest również pęknięty. O jego kształt we wszystkich dziedzinach życia toczymy nieustający spór. Powieść Wandy Karczewskiej jest przyczynkiem do niego, udanym i skłaniającym do myślenia, ponieważ wyszła spod ręki prawdziwego pisarza. Wnioski z niej, zajęcie wobec propozycji pisarskiej własnego stanowiska zależy już tylko od indywidualnego czytelnika. Również dojrzałego, bo nie jest to książka masowa.

BARBARA NAWROCKA

Wanda Karczewska: „GŁĘBOKIE ŹRÓDŁA", „Czytelnik" 1973 r.

TEATR

„Zabawa w koty"

Istvan Orkeny pragnął opowiedzieć o uczuciach ludzi starych, którzy już niewiele od życia oczekują. W łódzkim przedstawieniu sprawnie wyreżyserowanym przez Olgę Koszutską, z wyjątkiem Gizy, wszyscy bohaterowie są jeszcze pełni planów na przyszłość, werwy, temperamentu, chęci do życia i aktywnego działania. Np. w koncepcji autorskiej Erzsi Orbanowa to kobieta sześćdziesięcioletnia, , która żyje już przede wszystkim wspomnieniami, a jedynym sensem jej życia jest miłość do długoletniego przyjaciela, Wiktora, zaś jego zdrada doprowadza ją nawet do próby samobójstwa. **Ewa Zdzieszyńska** niczym nie przypomina modelu owej bohaterki. Zaproponowała jednakże w zamian niezmiernie ciekawą, skomplikowaną postać nie tyle starzejącej się, co raczej nie dbającej o siebie, kobiety. To jej zaniedbanie ma również głębszy sens, a mianowicie — zdaję się być w ścisłym związku ze sposobem bycia. Jest bowiem w jej zachowaniu pewna nonszalancja, lekkomyślność, spontaniczność w działaniu. Stara się jak najwięcej korzystać z życia i cieszyć niemal po dziecięcemu z każdego drobiazgu. Nawet w scenie nie udanego samobójstwa, jakby nie zdaje sobie sprawy z tego, co może nastąpić. Bez chwili zastanowienia, bez drżenia rąk wsypuje do szklanki zawartość flakonu a następnie prawie z radością wypija domniemaną truciznę.

Paula (**Hanna Bedryńska**) — elegancka, nieco ekstrawagancka w sposobie ubierania się, jest uosobieniem kobiecości w delikatnym sposobie uwodzenia i umiejętnym eksponowaniu swych wdzięków. Nic też dziwnego, że zupełnie różny jest stosunek Wiktora (**Zygmunt Malawski**) do tych kobiet — przyjacielski do Erzi i pełen męskiego pożądania oraz zainteresowania do Pauli. Wiktor także różni się od mocno podstarzałego, zarozumiałego bufona o obfitych kształtach i zaawansowanym brzuszku. Jest interesującym jeszcze, dość przystojnym mężczyzną w średnim wieku. Zaś jego dramat — byłego, znanego śpiewaka spowodowany ciągle pogarszającymi się warunkami głosowymi wydaje się czysto ludzki i wzruszający.

Bardzo trudną, bo niemal statyczną rolę Gizy miała **Janina Jabłonowska**. Za pomocą niewielkiej liczby gestów i ruchu potrafiła jednak wyrazić swe oddalenie i odgrodzenie się niewidoczną barierą od powszednich problemów życia. Pod owym pozornym spokojem i obojętnością ukrywa przecież zupełnie inny, wewnętrzny rytm postaci.

„Ja żyłam w dobrobycie i spokoju i poczuciu bezpieczeństwa, które dawała mi moja stabilizacja życiowa — Erzi stale wpadała w tarapaty, stale miotał nią niepokój, nieustannie przerzucała się z jednej skrajności w drugą, ale czułam, że jej życie jest więcej warte niż moje (...) Ja nigdy nie popełniałam błędów. Niestety", — wyznaje w jednym ze swych monologów.

Dzięki takiemu potraktowaniu ról Gizy i Erzi pozornie wszystko je dzieli: sposób bycia, charaktery, usposobienie, poglądy a nawet styl ubierania się. Ale też jest jakaś widoczna więź pomiędzy tymi, dwiema siostrami, oparta na jedynie szczerej w tej sztuce miłości siostrzanej, która przetrwała nawet próbę czasu i odległości.

Wreszcie scenografia **Henri Poulaina** nierozłącznie związana z osobami dwu sióstr. Inwalidzki wózek zastąpiony został przez wielki, nieco staroświecki, wygodny fotel Gizy. Jest on jakby symbolem stabilizacji, równowagi, spokoju. Zaś umieszczenie go w głębi, na podeście, sprawia wrażenie oddalenia od miejsca akcji i wyizolowania, mimo iż znajduje się on w zasięgu wyciągniętej ręki. Pokój Erzi — niewygodna leżanka czy małe, bez oparcia stołeczki, wskazują na brak stabilizacji bohaterki. Ponadto pokój ten jest równocześnie kawiarnią, ulicą, mieszkaniem Wiktora, Gizy itp.

W przedstawieniu ginie nieco sam tytuł sztuki. Wątek „zabawy w koty" jest tu oderwany, a nawet rozbija logiczną i harmonijną całość. Czy owej „zabawy w koty" nie należałoby potraktować raczej umownie?

MIECZYSŁAWA WALCZAK

Teatr Nowy — Mała Sala. Istvan Orkeny — „Zabawa w koty". Przekład — Camilla Mondral. Reż. Olga Koszutska. Scen. — Henri Poulain. Muz. — Piotr Marczewski. Premiera — marzec 1973 r.

KAROL OBIDNIAK

ŻART NA DWIE OSOBY

On: Dzień dobry. No i co?

Ona: Niestety nie przyjdzie.

On: To dziwne, ale z tobą nie krępuję się rozmawiać nawet o sprawach intymnych. A z nią wystarczy, że pomyślę i już mi się język plącze.

Ona: Rozumiem cię doskonale. Powiedz mi, co masz zamiar robić dalej?

On: Chciałbym jej powiedzieć, że ją kocham, ale nie wiem jak. I chciałbym cię prosić... Wypróbuj to ze mną.

Ona: To się mówi zwyczajnie: kocham cię — i już.

On: Ale przecież nie mogę tak ni stąd ni zowąd, wystrzelić jak głupi.

Ona: Oczywiście, że nie. Ale co chcesz wiedzieć?

On: Jak doprowadzić do tego... Jesteś moim przyjacielem.

Ona: Przyjaciółką.

On: Nie, przyjacielem. To dla mnie więcej znaczy. Kiedy jestem z nią, jak by ci to powiedzieć, po prostu głupieję, mówię bez sensu, czuję się zażenowany. Zwyczajnie — krew mnie zalewa. A serce wali mi tak, jak u zgonionego psa.

Ona: Tak bardzo ją kochasz?

On: Wyobraź sobie, aż tak. Mogę zamknąć oczy i widzę ją wszędzie. Nigdy nie przypuszczałem, że może stać się ze mną coś podobnego, nigdy.

Ona: Ach, co ja bym dała, żeby się tak zakochać.

On: Mówię ci: miłość to wspaniałe uczucie, wspaniałe.

Ona: Chciałabym ci pomóc, ale naprawdę nie wiem jak.

On: Przecież jesteś doświadczona, tylu chłopców się w tobie kochało — Wojtek, Staszek, Zenek, Tadek...

Ona: Sami smarkacze.

On: Chodziłaś z nimi.

Ona: Na złość koleżankom.

On: Nie. Nie wiem jak ty, ale Wojtek to się w tobie kochał naprawdę.

Ona: Możliwe.

On: Powiedz mi, jak oni to robili?

Ona: Widocznie źle, skoro ich porzuciłam.

On: A, widzisz. Jak więc twoim zdaniem powinno się to robić?

Ona: Do tego musi być nastrój.

On: Pozwól, że zapiszę: ...postarać się o nastrój... Mamy więc nastrój. Co dalej?

Ona: Siadam niedbale na ławce, z dala od lampy, w półmroku. Siadasz obok mnie — no, siadaj!

On: Tak?

Ona: Bliżej. Tak, żeby wyczuć jej ciało przy swoim. Wyczuwasz?.. Bierzesz ją za rękę — no, weź moją rękę.

On: Ale, jak myślisz, czy ja jej w tej chwili nie zdradzam?

Ona: Nie, bo robisz to bez uczucia, jak byś jechał ze mną w zatłoczonym tramwaju.

On: Przekonałaś mnie.

Ona: Ależ nie tak, trzymasz moją rękę jak kawałek drewna. A przecież ona jest żywa. Czujesz jej kształt? Musisz westchnąć i szepnąć — Boże, jakie ty masz piękne ręce. Na co czekasz? Wzdychaj!

On: Nie mogę, zatkało mnie.

Ona: Możemy próbować dalej?

On: Może ja sobie to wpierw zapiszę.

Ona: Nie zapisuj, w razie czego powtórzymy.

On: (wzdycha) Ach Boże, jaka ty jesteś dobra.

Ona: Co miałeś zrobić, co powiedzieć?

On: Ach, jakie ty masz piękne ręce...

Ona: A zobacz tę drugą.

On: Po co?

Ona: Improwizuję rozmowę zakochanych.

On: Przepraszam, masz słuszność. Ale to niewygodnie trzymać się tak za dwie ręce.

Ona: Właśnie i dlatego należy zmienić pozycję. Nie wypuszczając z ręki tego, co ci już dano, drugą ręką obejmujesz ją w pół i swoją prawą dłoń kładziesz na jej prawym przedramieniu.

On: Dobrze?

Ona: Bliżej. Taak, teraz bierzesz moją rękę...

On: Boże, jakie ty masz piękne ręce... Och!

Ona: Co się stało?

On: Za ławką rosną pokrzywy.

Ona: Mój drogi, trzymaj ręce blisko partnerki, bądź z nią w kontakcie przez cały czas.

On: I co dalej?

Ona: Jakie ty masz piękne oczy.

On: Jakie ty masz piękne oczy.

Ona: Nie, nie chowaj ich przede mną... Powtarzaj za mną.

On: Nie, nie chowaj ich przede mną. Kiedy tak patrzysz na mnie...

Ona: Widzę, że się rozgrzewasz... dobrze, dobrze... mów dalej.

On: Czuję, jak bym się zanurzał w falach oceanu, zatracał się w tobie bez reszty.

Ona: Źle. Za dużo słów.

On: Ale ja naprawdę powiedziałem to z sercem... Nie, nie chowaj ich przede mną, otwórz oczy...

Ona: Boże, jakiś ty głupi. Zamknęłam oczy dlatego, żebyś mnie mógł pocałować.

On: Eee...

Ona: Próbujemy dalej, czy nie?

On: Próbujemy.

Ona: No, patrzę na ciebie, opieram piersi o twoje...

On: Jakie ty masz piękne oczy.

Ona: Uważaj, teraz zawstydzona spuszczam powieki. No, dosyć lekcji na dzisiaj.

On: Uważam, że powinniśmy tę ostatnią partię powtórzyć.

Ona: Nie trzeba, wykonałeś ją doskonale.

On: Pozostało jeszcze wyznanie: kocham cię, bądź moją!

Ona: Już to powiedziałeś i ja się zgodziłam.

On: Nie przypominam sobie.

Ona: W miłości liczą się czyny, nie słowa.

On: Nie rozumiem...

Ona: Pocałowałeś mnie, ja ci pocałunek oddałam, słowa stały się zbyteczne. Co ci się stało? Źle się czujesz?

On: Doskonale, tylko jak zamykam oczy, to już jej nie widzę — tylko ciebie i serce bije mi jak u zgonionego psa, i nogi drżą...

Ona: Naprawdę?

On: Posłuchaj, słyszysz? Boże jakie ty masz piękne oczy...

Ona: Koleżanki mi tego nie darują.

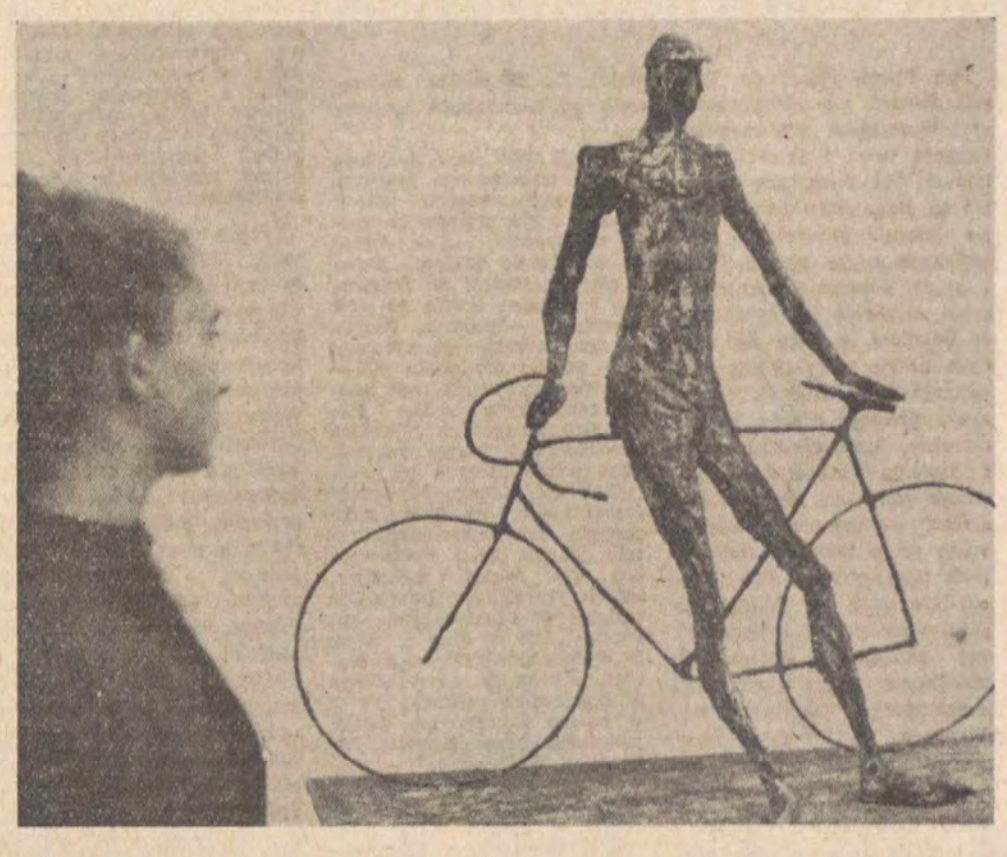

Fot. Archiwum

§ NÓŻ NA gardle

Symforian Soczewka, właściciel prywatnej wytwórni luster, właśnie przeglądał się w zwierciadle przez siebie wykonanym, kiedy w drzwiach pojawiła się wysokonoga Barbara N., zwana na Chojnach, wzdłuż całej ulicy Rzgowskiej, Miłodupką. Przystojna klientka przyszła prosić poczciwego rzemieślnika o pożyczkę.

— Panie Symforianie, mam nóż na gardle i tylko cztery tysiące złotych może mnie natychmiast uratować — zawołała od drzwi.

Zacny rzemieślnik spojrzał na przystojną blondynkę, która swych wdzięków nie zamierzała ukrywać, wręcz przeciwnie, raczej starała się eksponować niektóre swe zalety natury fizycznej i pomyślał sobie coś widocznie bardzo przyjemnego, gdyż uśmiechnął się niejako tak od wewnątrz i zaprosił damę na godzinę 22, wieczorem, tłumacząc, że nie ma przy sobie w tej chwili tyle gotówki, ile Barbara N. potrzebuje, lecz do wieczora zorganizuje odpowiednią kwotę i tym sposobem zdejmie nóż z gardła kobiecie udręczonej przez surowych wierzycieli.

Kiedy Barbara N. zgłosiła się późnym wieczorem po pieniądze, na stole pracowni, w blasku luster lśniło pół litra czystej wyborowej. Wypili wódkę w trójkę, jako że przezorna dama przyszła z przyzwoitką, niejaką Magdaleną Z. i udali się wszyscy razem do mieszkania przyjaciółki na sąsiedniej ulicy. Tam również ukazało się nieoczekiwanie na stole pół litra, prawie równocześnie z siąsiadką, która o tej porze uważała za stosowne złożyć koniecznie wizytę koleżance po fachu.

Trzy niewiasty, pół litra wódki i jeden mężczyzna — to bardzo interesujący układ towarzyski. Każdy na miejscu Symforiana Soczewki czułby się zaszczycony. Po skończonej zabawie, tak gdzieś około północy, dłużniczka i wierzyciel poszli w kierunku pracowni, prawdopodobnie, ażeby przejrzeć się w lustrze, ale nie jest to takie całkiem pewne, być może, że równie dobrze udali się tam w celu dalszego zmniejszania wielkości zaciągniętej pożyczki.

W każdym bądź razie od tego miejsca zeznania złożone przed sądem przez damę i dżentelmena znacznie się od siebie różnią. W wersji żeńskiej finał wieczoru był następujący: pan Symforian Soczewka najnormalniej w świecie zasnął u siebie w pracowni, zostawiając dzielną towarzyszkę zabawy nocnej na pastwę samotności i podszeptów złego ducha. Zlekceważona w ten sposób niewiasta, urażona w swej godności kobiecej, zabrała mu ze złości portfel, dwie pary spodni i futrzaną czapkę i poszła sobie w siną dal. Podczas przeprowadzonej rewizji w jej mieszkaniu, szapkę futrzaną odzyskano.

Wersja męska zdarzenia ma bogatszą dramaturgię. Rozstanie z Miłodupką było bardzo sympatyczne, jednakże właściciel warsztatu lustrzanego nie przewidział, że za kilka godzin znów się z nią spotka. Ledwo bowiem zasnął, wyczerpany burzliwymi przejściami nocy, gdy obudziło go pukanie do drzwi i głos towarzyszki wieczoru, proszący, aby ją z powrotem przyjął do siebie. Kiedy otworzył drzwi, zamiast kobiety — ujrzał w nich dwu drabów trzeci z nożem stał z tyłu i obiecywał, że w razie niesubordynacji, trzeba będzie rzemieślnikowi upuścić trochę krwi. Kobieta kryła się za plecami zbirów, lecz nie kryła wcale swej satysfakcji z zaistniałej sytuacji, w jakiej znalazł się jej wierzyciel.

Symforian Soczewka, grzeczny jak dziecko, zaprosił nocnych gości do pracowni, wyjął z kieszeni portfel z pieniędzmi, kluczyki do szafki i wręczył im wszystko bez większego sprzeciwu, który i tak by zresztą nie miał sensu, gdyż bandyci mieli przytłaczającą przewagę nad gospodarzem. Splądrowali mu pracownię, stłukli kilka luster na szczęście, przeszukali skrupulatnie kieszenie garderoby. Cyniczna niewiasta w tym czasie przeglądała się najprawdopodobniej w jednym z licznych luster. Jak to kobieta.

Oskubanego i ciężko wystraszonego rzemieślnika wyprowadzono następnie na podwórze, ustawiono twarzą do muru, na oczy założono opaskę i polecono mu czekać do białego rana. A był to chłodny poranek listopadowy, łatwo wtedy o katar. Na pożegnanie jeden ze zbirów przyłożył mu nóż do gardła i ostrzegł, że w razie przedwszesnego alarmu przyszpili go do muru.

Zbirów do tej pory nie schwytano. Sąd miał niejakie wątpliwości, czy oni w ogóle istnieli. W każdym bądź razie na ławie oskarżonych Barbara N. wystąpiła osamotniona.

Wypadałoby rzecz zakończyć morałem. Proszę bardzo: **dobry zwyczaj — nie pożyczaj.**

KAROL BADZIAK

PICASSO W POLSCE

Zmarł największy malarz naszych czasów. Był jednym z artystów, którego nazwisko znane jest każdemu w najodleglejszych zakątkach świata. Nie ma człowieka, który nie widziałby picassowskiego gołębia pokoju. Rysował i malował od szóstego roku życia, aż niemal do samej śmierci. Umarł w niedzielę, a w sobotę jeszcze pracował. Żył lat 92. Dokonał istotnych zmian nie tylko w sztuce, ale co ważniejsze, w naszym patrzeniu na świat, w wizji tego świata.

Wraz z Braque'em był twórcą kubizmu, później w latach 1925—1935 uchodził za malarza surrealistycznego, choć w ścisłym tego słowa znaczeniu surrealistą nie był. Pisał kiedyś:

„Gdy byłem dzieckiem matka mówiła do mnie: jeśli będziesz żołnierzem, zostaniesz generałem. Jeżeli zostaniesz mnichem, będziesz papieżem. Chciałem być malarzem i zostałem Picassem".

Powiedział kiedyś:

„To pięknie, jeśli malarz wie co robi. Jakie malarstwo najbardziej mi się podoba? Oczywiście własne".

A innym razem stwierdzał:

„Trzeba mieć dużo czasu, aby być młodym".

Bywały w jego życiu okresy skrajnej nędzy. Gdy w roku 1904 przenosi się na stałe do Paryża przez pięć lat żyje w okropnej, a jakże potem słynnej ruderze przy ul. Ravignan 13 na Montmartre tzw. Bateau-Lavoir (kilka lat temu dom spalił się doszczętnie).

W Polsce był Picasso w roku 1948, kiedy to wielki artysta, sławny już na całym świecie, przybył do Wrocławia na Kongres Intelektualistów. Zwiedził wtedy Wrocław, Oświęcim, Kraków i zniszczoną, podnoszącą się z gruzów Warszawę. Na ten temat napisała w dwadzieścia lat później Claire Nicolas artykuł w „Les Lettres françaises" pt. „Il y a vingt ans, Picasso a Varsovie".

„Kiedy Picasso przybył do Polski w sierpniu 1948 by wziąć udział w Kongresie Intelektualistów dla pokoju, wzbudził ogromne zainteresowanie. Ciekawscy otaczali go wszędzie na ulicy; dziennikarze i fotografowie deptali mu po piętach. Co mnie zdumiało, gdy widziałam go we Wrocławiu, to łatwość z jaką znosił ciężar własnej legendy".

W Polsce Picasso był pogodny, nieskrępowany, ufny. Znalazł tu być może ten ciepły nastrój życzliwości, o którym zawsze marzył — podkreśla Claire Nicolas. Tu, we Wrocławiu namalował 29 sierpnia znany później portret Ilji Erenburga.

Z wielkim zainteresowaniem zwiedzał Picasso Kraków, gdzie m. in. zobaczył laleczkę tradycyjnego i jakże charakterystycznego dla tego miasta, lajkonika. Wypytywał o historię lajkonika i z ciekawością jej wysłuchał.

Nie obyło się podczas pobytu w Polsce wielkiego malarza, bez zabawnego momentu. Ujrzał on afisz z napisem **„Wystawa ceramik Pabla Picassa".** „Tiens, tiens — wykrzyknął — oto nazywam się obecnie Pabla Picassa". Wybuchnął śmiechem powtarzając następnie jeszcze wielokrotnie swoje tak odmienione nazwisko. Innym razem kiedy delegaci francuscy zdumiewali się, że Polacy łatwo władają wieloma obcymi językami Picasso zauważył z humorem, iż on się wcale temu nie dziwi. Język polski jest tak trudny, że dla kogoś kto włada nim od dzieciństwa nauka innego języka jest po prostu dziecinną zabawką.

Claire Nicolas zwraca w swym artykule uwagę, że w jakiś czas po pobycie w Polsce, w twórczości Picassa pojawiły się dziwne postacie będące jednocześnie i jeźdźcem i koniem. Zastanawiano się skąd pojawił się ten nowy motyw w twórczości Picassa. Kahnweiler kolekcjoner i historyk sztuki, przypuszczał, że inspiracją Picassa była lektura „Ivanhoe" Walter Scotta. Claire Nicolas twierdzi jednak, że były to po prostu reminiscencje oglądania krakowskiego lajkonika, podobnie jak pojawiające się w twórczości Picassa po wizycie w Polsce, twarze dzieci o rysach słowiańskich.

Będąc w Warszawie Picasso zwiedzał m. in. odbudowę jednej z dzielnic warszawskich. W pewnym momencie wskoczył nagle na jakieś podwyższenie z gruzów a wyciągnąwszy z kieszeni węgiel do rysowania naszkicował na cegłach wizerunek herbu Warszawy, syrenkę. Pół ryba, pół kobieta o bujnych falujących włosach, trzyma w lewej ręce tarczę ze stylizowanym słońcem, w prawicy zaś nie miecz, lecz młotek jako symbol pracy i odbudowy. Niestety rysunek Picassa wykonany na kawałku gruzów warszawskich nie dochował się do dziś. Zachowała się jedynie fotografia tego unikalnego dzieła. „Les Lettres françaises" z dnia 22 października 1969 przyniosły reprodukcję picassowskiej „La Sirène de Varsovie", przy czym pod rysunkiem widnieje wydrukowany po polsku napis:

„Jedyna reprodukcja Syrenki Picassa, którą udało nam się znaleźć w „Życiu WSM", str. 183".

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

RAPORTY PANA KONSULA

Pan Pierre Henri du Terrail Boyard nie zdobył sobie w Warszawie popularności. Przybył tutaj z Triestu pod koniec 1881 roku, aby zastąpić na stanowisku francuskiego konsula generalnego odwołanego nagle barona Finot i nigdy właściwie nie zdołał sobie zaskarbić tej życzliwości Polaków, z jaką na każdym kroku spotykał się jego poprzednik. „Człowiek oczytany, zdrowego zdania, bardzo ostrożny, towarzystkich zalet i dowcipu właściwego Francuzom zdaje się niewiele posiadać" — tak charakteryzowano go w warszawskich sferach towarzyskich. Pan konsul nie miał w Warszawie zbyt wiele pracy. Interesował się zwłaszcza stworzeniem możliwości dla ekspansji francuskiego kapitału nad Wisłą, co jakiś czas w ciszy swego gabinetu opracowywał poufne raporty o tym, co ważnego działo się w Warszawie i kraju, do spraw wielkiej polityki starał się mieszać jak najmniej. Za to wielce zajmowały go zagadnienia społeczne.

14 maja 1890 roku w raporcie dla francuskiego ministra spraw zagranicznych konsul Boyard wiele miejsca poświęcił wydarzeniu, które uznał za szczególnie ważne. „Dzień 1 maja przeszedł w Warszawie i w całej Polsce na ogół spokojnie" — pisał do Paryża — zgromadzone poprzedniego dnia wojsko nie miało powodów do interwencji, zaś policja rozproszyła „kilka niewielkich zbiegowisk". Władze aresztowały grupę robotników, wśród których nie było jednak ani jednego obywatela francuskiego, nie było więc powodu do interwencji. O tym jednak, że 1 maja spokój był raczej wątpliwy, świadczyły dalsze informacje podane w konsularnym raporcie. „Już w nocy z 28 na 29 kwietnia rozlepiono na murach Warszawy i rozrzucono w dzielnicach robotniczych i w halach fabrycznych ulotki, podpisane przez Komitet Robotniczy Warszawski" — wywodził pan konsul. Wzywano w nich robotników do przerwania w dniu 1 maja pracy w zakładach — na znak solidarności z robotnikami całej Europy — i zgłaszania żądań podwyżki płac oraz zmniejszenia godzin pracy. Fabrykanci przestraszyli się i zwrócili się do władz o pomoc. W ulotkach robotnicy oznajmiali — raportował dalej pan konsul — „iż trzeba, żeby proletariat miał świadomość swej siły i każdego dnia walczył z kapitalizmem. Jednomyślność w sprawie słusznych żądań klasy robotniczej jest najlepszym środkiem rozwiązania robotniczej kwestii przez wywłaszczenie fabrykantów na rzecz pracowników i zapewnienie triumfu rewolucji socjalnej". Pomimo tego wezwania — czytamy dalej w raporcie — „wiele osób z personelu fabryk" stawiło się do pracy, chociaż „niektóre zakłady musiano jednak zamknąć na ten dzień", bowiem nie było komu pracować.

Tyle z raportu pana Boyard. Nie ulega wątpliwości że pan konsul, człowiek powiązany ze sferami przemysłowymi i handlowymi, dał tu stronniczy obraz przebiegu pierwszego obchodu pierwszomajowego w Warszawie. Zapewnieniom, że nic się właściwie nie stało, którymi naszpikował swój raport, przeczyły podawane w nim fakty, a przyznajmy, że zebrał on je rzetelnie. Święto majowe ustanowiono przed rokiem, w wyniku uchwały podjętej przez II Międzynarodówkę, zaś w 1890 roku po raz pierwszy postanowiono je uczcić również w Polsce. Polska emigracja socjalistyczna skierowała w tym celu do kraju Stanisława Padlewskiego, który po przybyciu do Warszawy nawiązał kontakt z miejscową organizacją II Proletariatu. I z działaczami Związku Robotników Polskich, którzy przystąpili do przygotowywania obchodu. Jeden z czołowych działaczy II Proletariatu Ludwik Kulczycki tak później wspominał pamiętne wydarzenia 1890 roku: „Na kilka dni przed 1 Maja „Proletariat" wydał gorącą odezwę, odbitą w krajowej drukarni partyjnej i rozrzucona po całej Warszawie i Łodzi. Proklamacja tłumaczyła doniosłość 8-godzinnego dnia roboczego i święta majowego, wzywając robotników, aby przez masowe wzięcie w nim udziału zaświadczyli, że gotowi są mężnie walczyć o wolność. W Łodzi „Proletariat" wydaje jeszcze odezwę po niemiecku, wzywając robotników niemieckich do solidarnego wystąpienia z proletariatem polskim. Rząd i kapitaliści rozwinęli także gorączkową działalność dla zapobieżenia obchodowi święta robotniczego. Władze rosyjskie rozstawiły po mieście liczne hufce kozaków z nahajkami, a oprócz tego, chcąc wywołać rozruchy antysemickie, kazały sklepikarzom Żydom zamykać ich sklepy pod pretekstem, że są wiadomości, iż będą ich bili. Fabrykanci zagrozili robotnikom, że w razie niestawienia się do roboty w dniu 1 Maja utracą zajęcie".

Mimo wszystkich tych pogróżek i represji dnia 1 maja 1890 roku świętowało osiem, do dziesięciu tysięcy robotników. Stanęło mnóstwo warsztatów szewskich, stolarskich, blacharskich, a chociaż większe fabryki, pozostające pod opieką policji, nie zawiesiły pracy, przecież wielu robotników tam zatrudnionych nie stawiło się przy warsztatach.

Osiem do dziesięciu tysięcy uczestników — to na ówczesne warunki bardzo wiele, ale jednocześnie bardzo mało. Następne lata rychło zwielokrotnią te liczby. Przebieg 1 Maja w Warszawie i innych miastach Polski będzie teraz zajmował coraz więcej miejsca w raportach konsula Boyard. Nie tylko zresztą jego: obchody te odegrały istotną rolę w przekształceniu ruchu robotniczego w zjawisko masowe zarówno w innych krajach, jak w Polsce.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

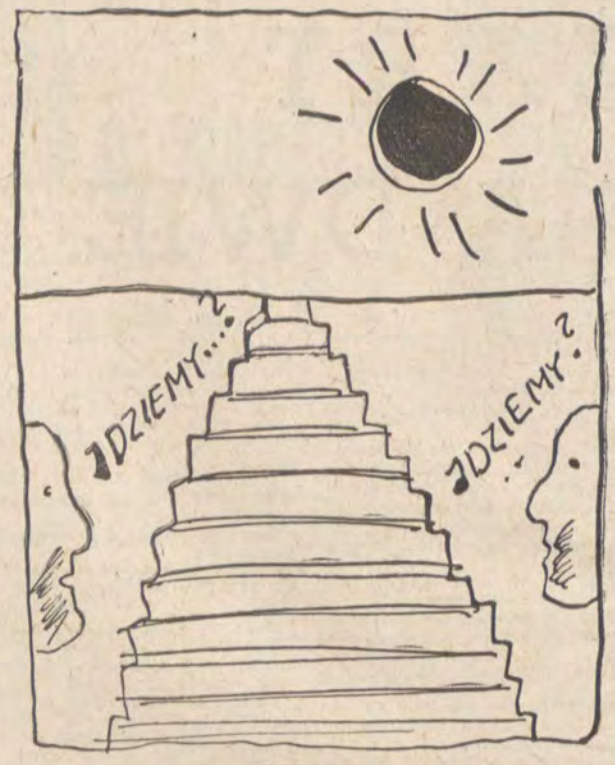

Z darzeni A • I • Z wierzeni A

LISTY BIBLIOFILSKIE

Ukazała się niedawno publikacja fascynująca. A właściwie nie ukazała się, tylko mignęła i znikła. Bo 300 egzemplarzy to przecież druk bibliofilski i może właśnie dlatego ta urokliwa książeczka nosi nazwę „Listów bibliofilskich". Niedawno widziałem ją w antykwariacie — kosztowała 70 zł. Na drugi dzień już „Listów" nie było.

Wydawcą jest Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki z prezesem Michałem Kuną na czele. Podejrzewam, że on to właśnie, czuły miłośnik bibliofilskich cymeliów, znawca ksiąg i literatury, Bibliofil Łódzki Pierwszy — był głównym sprawcą tej cennej książki. Michał Kuna zapowiada następny tomik „Listów", który poświęcony będzie całkowicie problematyce łódzkiej. Oczekiwać będę tej książeczki z niecierpliwością i niepłonną chyba nadzieją, że wydawcom stworzona zostanie możliwość opublikowania tomu nie tylko ciekawego, ale niebanalnego edytorsko.

Rasowi bibliofile zresztą potrafią ubarwić każde, najzupełniej banalne, wydawnictwo. Pierwszy tomik „Listów" drukowany jest „powielaczowo", a jednak dodano mu swoistego smaczku dzięki wklejkom exlibrisów Ludwika Tyrowicza, fotografiom i wkładce na czerpanym papierze z wzorami starych filigranów, czyli papierniczych znaków wodnych.

„Listy bibliofilskie" otwiera fragment szkicu Jana Muszkowskiego na temat wrogów i przyjaciół książek. Kto jest bibliofilem, co to jest bibliofilstwo — oto pytania postawione na wstępie. Odpowiedzi jednoznacznych nie ma, każdy musi sobie sam modelować swój własny wzorzec ukochania książki.

Nie tylko zresztą książki — także papieru. Szkic Jadwigi Siniarskiej - Czaplickiej o papierze, starych papierniach, znakach wodnych, kolekcjonerach i badaczach filigranów — podbudowany bibliografią przedmiotu jest, obok walorów „ciekawostkowych", właściwie cenną rozprawką. I takich mini-rozprawek mamy w „Listach bibliofilskich" sporo.

Zmarły niedawno historyk dziejów Łodzi, Edmund Jarzyński, publikuje tu bardzo cenny artykuł o Romanie Tylko — drukarzu, który po latach wędrówek po Ameryce osiadł na początku lat dwudziestych w Łodzi. Wydawał „Głos Przedmieścia" (mieszkał bowiem daleko od centrum, przy ul. Rzgowskiej 51), potem drukował książki... Nieraz bardzo piękne i cenne. Mało kto bowiem pamięta, że głośna „Kultura Łodzi" Stolarzewicza drukowana była właśnie w oficynie Tylki, że tu wydał swą piękną książkę „Łódź i okolice" dr Jan Dylik.

Inną zapomnianą postać łódzkiej kultury przypomina Izabela Nagórska. Ciekawy i cenny szkic mówi o Antonim Remiszewskim, nauczycielu i bibliofilu, który gromadził zbiory ksiąg trzy razy w ciągu życia. Tragiczna typowość polskich losów — pierwszy zbiór zniszczyli Niemcy w roku 1939. Drugi — gromadzony kosztem olbrzymich wyrzeczeń w czasie wojny w Warszawie — spłonął w powstaniu warszawskim. Trzeci — najskromniejszy, gromadzony po roku 1945 przekazano po śmierci Remiszewskiego w roku 1948 do Biblioteki Publicznej w Łodzi. Ten zbiór służy ludziom do dziś. Jest jak gdyby przedłużeniem życia tego znawcy i miłośnika książek. Współczesny czytelnik, biorąc do rąk te książki czytając słowa w nich zamknięte, nadaje sens zbieraczkiej pasji, wypełniającej całe życie Antoniego Remiszewskiego.

„Listy" zawierają multum tego rodzaju szkiców, przyczynków, wspomnień, biografii, informacji. O bibliofilskiej Holandii pisze Janusz Dunin, o lilipucich wydaniach książek pisze Anatol Gupieniec... Ciekawe szkice i przyczynki publikują Rafał Leszczyński, Stanisław Tyszkiewicz, Amelia Bursówna, Jan Milewski, Jolanta Kowalczykówna, Jerzy Weinberg, Zdzisław Rafał Knorowski, Wacław Pryt.

Bardzo ciekawą propozycję wysuwają Jerzy Andrzejewski i Michał Kuna, postulując opracowanie pełnej bibliografii piśmiennictwa o polskim exlibrisie. Sa więc „Listy" jakąś summą spraw książki i „okolic książki". Spraw i problemów podejmowanych z czułą troską, ocalających od zapomnienia przysypane kurzem postacie i zdarzenia Piękna, potrzebna książka i wcale się nie dziwię, że na bibliofilskiej giełdzie uzyskała wysoką cenę.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Kiełbaski i krawat-widmo

W Budapeszcie w każdym sklepie z wędliną i z wyrobami garmażeryjnymi istnieje kącik, gdzie można przystanąć przy pulpicie a nawet i przysiąść przy jednym czy dwóch stolikach i spożyć na miejscu kupione specjały. Taki sam obyczaj panuje w Czechosłowacji, gdzie ponadto w każdym większym sklepie spożywczym można otrzymać szklankę i wypić sobie na miejscu mleko, nawet gorące. W miastach NRD stoją gęsto uliczne rożny z gorącymi parówkami i z pieczonymi kurczętami, podawanymi na tekturowych talerzykach. Sporo takich punktów doraźnego dożywiania ma nasza stolica, przynajmniej śródmieście. W Łodzi nadal pusto i głucho.

Owszem, kilka takich bud straszy w centrum miasta. Stoi taka przed wieżowcem, przy Narutowicza na wprost Wschodniej, i niedaleko od niej druga — przy zbiegu Narutowicza i Kilińskiego; tę drugą przynajmniej cofnięto dyskretnie w kąt pod ścianę, tę pierwszą możemy podziwiać ze wszystkich stron w pełnej krasie. To jest przygnębiający widok, to jest ohydny brudny rupieć sklecony nie wiadomo z czego. To jest jeszcze jeden przystanek dla jaskiniowych typów, zalewających się piwem, a wcale nie miejsce, gdzie głodny, śpieszący się przechodzień może pokrzepić nadwątlone siły.

Widocznie gastronomia nasza, o której wstydzą się już od lat pisać publicyści, bo to zbyt łatwy i zbyt ograny temat, której poświęciła jednak ostatnio uwagę nawet poruszona do głębi „Kultura" w całej serii zasadniczych artykułów, otóż gastronomia ta widocznie nie wyobraża sobie dań bez pieczarek i małego bufetu bez piwa. Pieczarki przy rumsztyku i piwo przy wszystkim musi być, żeby wyjść na swoje. Na niczym nie da się tak zarobić, jak na smętnej burzowinie, zwanej pianą, serwowanej niewybrednym gościom byle jak i byle gdzie jako narodowy napój zwany piwem. Przy północnym dworcu pekaesowym postawiono nawet solidny i estetyczny kiosk z rożnem dla zgłodniałych podróżnych — cóż, kiedy zgłodniałemu podróżnemu zastąpią tam drogę gromady wyżu demograficznego, schlane piwem, kiwające się i bluźniące na cały głos. Kiełbaski na tych wszystkich rożnach nie nadążają z dojściem do jakiej takiej temperatury i smaku, bułki do nich nie zawsze są świeże i apetyczne. Nie one jednak są przedmiotem głównej troski, stanowią przecież tylko uciążliwy pretekst dla golnięcia jeszcze pięciu flaszek, prosto z szyjki otartej rękawem, kto by tam się przejmował...

Ponieważ od pisania o tych sprawach nikomu nie będzie lepiej, ponieważ w najlepszych lokalach też dostaje się często zupełnie zimne dania i czerstwe pieczywo, opada nam ręka trzymająca długopis. Zmieńmy temat, co? Może coś na przykład o szalikach?

Kupiłem kiedyś niemnący krawat za niemnącą cenę, który po paru zawiązaniach wyglądał smutno i nieszczęśliwie jak skórka z kiełbasy (kiełbasa wciąż mi dziś przeszkadza!). Postanowiłem go więc wyprasować i co powiecie? Krawat przy dotknięciu żelazkiem znikł. W ogóle się ulotnił. Została żółta plamka wielkości pięciozłotówki i smuga zapachu długo wisząca w powietrzu. Po takim doświadczeniu, świadczącym o nieograniczonych możliwościach chemii i jej zastosowań w przemysłach włókienniczych, z nieufnością podchodzę do każdego nowo nabytego wyrobu odzieżowo-galanteryjnego. A właśnie nabyłem wiosenny, piękny szalik z produkcji zakładów „Miranda" w Turku. Czy nie będzie to również szalik znikający, szalik — widmo, szalik — niespodzianka?

Na szczęście producent — do czego go zmusiły władze, bo sam by tego nie wymyślił — dodał do szalika informację na tekturce, przyczepionej sznureczkiem. Tekturka podaje w pierwszej części od góry: „Szal męski jedwab sztuczny octan 40 proc. wełny 60 proc. Nie zaleca się prania mechanicznego. Czyścić chemicznie w benzynie lub perchloroetylenie na zimno".

Żeby życie nie było zbyt łatwe, w dolnej części tekturki podano jednocześnie: „Szal męski jedwabny octanowy. Prać ręcznie w roztworze środków piorących". I znów nie wiem czy kupiłem szal octanowy, czy octan 40 proc. wełny 60 proc. Czy czyścić chemicznie w benzynie, czy prać ręcznie w roztworze? Czy sprzedawczyni w „Argedzie" nie przestraszy się, gdy zażądam perchloroetylenu? Czy się nie obrazi?

Ale przy szaliku była jeszcze jedna tekturka. Z jednej strony zawierała jakieś liczby i szyfry, z drugiej takie pouczenie: „Przepisy prania **krawatu** z jedwabiu sztucznego octanowego. Nie zaleca się..." itd. Tą tekturką „Miranda" dobiła mnie ostatecznie. Nie wiem już, co kupiłem, jak się to pierze, jak się to nazywa. Nie wiem, której informacji wierzyć — może żadnej? Może powinna być czwarta instrukcja, jeszcze inna? Na razie noszę szalik — czy też krawat — nie myśląc o octanie i perchoroetylenie. Jeżeli mi ta rzecz nagle zniknie albo wymyśli coś innego — zawiadomię. Instrukcje „Mirandy" schowałem na pamiątkę.

ĆWIEK

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 843. T-4.